

# ELIZA ORZESZKOWA

MARTA

# Eliza Orzeszkowa

## Marta

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843774](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843774)*

*Marta:*

### Аннотация

Marta stanowi typowy przykład pozytywistycznej powieści tendencyjnej. Zbyt typowy jak na gust dzisiejszy – ze szkodą dla wagi podejmowanej przez Orzeszkową tematyki obecności kobiet na rynku pracy i w życiu społecznym. Oczywiście wiele się zmieniło, odkąd Marta została po raz pierwszy opublikowana w 1873 roku na łamach „Tygodnika Mód i Powieści”. W naszym kręgu kulturowym edukacja dziewczynek nie różni się merytorycznie od tej przeznaczonej dla chłopców: ma służyć im w życiu zawodowym, a nie jedynie w salonie dla uprzyjemnienia spotkań towarzyskich. Kobiety studiują na wyższych uczelniach i mają prawa wyborcze, również bierne. Jeśli do którejś przyczepi się na ulicy znany podrywacz i będzie miał kaprys jej towarzyszyć, nie poderwie to jej reputacji... raczej nie, przynajmniej w większych miejscowościach. Wszystko to są jednak stosunkowo nowe zdobycze cywilizacyjne, uzyskiwane sukcesywnie, przy wtórze komentarzy raz kpiących, innym razem oburzonych. Ciągle jeszcze wizja kobiety jako przywódczyni państwa, szczególnie dużego, światowego mocarstwa, jest rewolucyjna, a dla wielu nie do przyjęcia. Ciągle też za te same kwalifikacje kobiety dostają mniejszą płacę od mężczyzn, a kobieta samodzielnie wychowująca dziecko nie

jest traktowana jak głowa rodziny, choć nią jest w istocie. Przede wszystkim jednak silna pozostaje tendencja postrzegania tych czasów, które ukazuje powieść Orzeszkowej, jako czasów idyllicznych, kiedy kobieta pozostawała oddana tylko kręgowi domowych obowiązków, otoczona szarmanckim zainteresowaniem oraz opieką mężczyzn i to jej w zupełności wystarczało, uszczęśliwiała, jako „naturalne” jej położenie. Warto tej idylli przyjrzeć się bliżej, wybacząc autorce przerysowania i perswazyjny ton. Był on potrzebny wówczas, żeby nadać impet ruchowi emancypacyjnemu: dlatego Marta przyniosła Orzeszkowej potężny sukces w kraju i za granicą, uczyniła ją też adresatką listownych zwierzeń, prośb o rady i podziękowań od wielu kobiet z różnych warstw społecznych, w różnym wieku i z różnych stron.

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

84

# Eliza Orzeszkowa

## Marta

Życie kobiety to wiecznie gorejący płomień miłości –  
powiadają jedni.

Życie kobiety to zaparcie się – twierdzą inni.

Życie kobiety to macierzyństwo – wołają tamci.

Życie kobiety to igraszka – żartują inni jeszcze.

Cnota kobiety to ślepa wiara – chórem zgadzają się wszyscy.

Kobiety wierzą ślepo; kochają, poświęcają się, hodoją dzieci,  
bawią się... spełniają zatem wszystko, co świat spełniać im  
nakazuje, a jednak świat krzywo jakoś na nie spogląda i od czasu  
do czasu odzywa się w kształcie wyrzutu lub napomnienia:

– Źle dzieje się z wami!

Spomiędzy kobiet samych przenikliwsze, rozumniejsze lub  
nieszczęśliwsze, wglądając w siebie lub rozglądając się dokoła,  
powtarzają:

– Źle dzieje się z nami!

Na wszelkie złe niezbędnym jest środek zaradczy; ci i owi  
upatrują go w tym lub w owym, ale choroba nie ustępuje przed  
receptą.

Niedawno jeden z najśluszej poważanych w kraju naszym  
pisarzy (pan Zachariasiewicz w powieści pt. *Albina*) podał do  
wiadomości publicznej, że kobiety fizycznie i moralnie chorują  
dlatego, że brak im wielkiej miłości (naturalnie dla mężczyzny).

Nieba! Jakaż to olbrzymia niesprawiedliwość!

Niech różowy bożek Eros zleci nam ku pomocy i zaświadczy, iż całe życie nasze nie jest czym innym jak kadzidłem na cześć jego nieustannie palonym!

Zaledwie odrósłszy od ziemi słyszymy już, że przeznaczeniem naszym będzie kochać jednego z panów stworzenia; podlotki, marzymy o tym panu i władcy każdego wieczora, w którym na niebiosach księżyc świeci lub gwiazdy błyszczą, każdego poranku, w którym śnieżne lilie rozwijają ku słońcu wonne swe kielichy, marzymy i wzdychamy. Wzdychamy do chwili, w której wolno nam będzie, jak liliom ku słońcu, zwrócić się ku temu, który z mgły porannych obłoków lub powodzi księżycowego światła wyłania się przed wyobraźnią naszą z postacią Adonisa śpiącego na tajemnicy... Potem... cóż potem? Adonis zstępuje z chmur, wciela się, zamieniamy z nim obrączki i wychodzimy za mąż... Jest to także akt miłości, a chociaż wyżej nadmieniony pisarz w bardzo zresztą pięknych swych powieściach utrzymywać chce, iż zawsze i nieodmiennie jest to tylko akt rachuby, nie zgadzamy się z nim w tej mierze. Akt rachuby w wyjątkowych sferach i okolicznościach, powszechnie bywa to akt miłości. Jakiej miłości? Wcale to już inna a wielce subtelna i długiego mówienia o sobie wymagająca materia, dość przecież, że gdy w białych muślinach wstydliwą twarz słońc<sup>1</sup> tiulowymi zwojami idziemy do ołtarza, śliczniutki Eros leci przed nami i wstrząsa nam nad głową pochodnią o różanych

---

<sup>1</sup> *słonic* – tu: zasłaniać, osłaniać. [przypis edytorski]

płomykach.

Potem? Cóż potem? Kochamy znowu... Jeżeli nie tego z panów stworzenia, który podlotkowi objawiał się w marzeniu, a dziewczycy obrączkę ślubną na palec włożył – to innego, jeżeli zresztą nie kochamy żadnego, to kochać pragniemy... usychamy, suchot dostajemy, jędzami częstokroć się stajemy z pragnienia kochania...

A z tego wszystkiego co wynika? Jedne z nas, otulone skrzydłami bożka miłości, przelatują wprawdzie przez całe życie uczciwie, cnotliwie i szczęśliwie, inne przecież, liczniejsze, daleko liczniejsze, zakrwawionymi stopami chodzą po ziemi walcząc o chleb, o spokój, o cnotę, łzy lejąc obfite, cierpiąc straszliwie, grzesząc okrutnie, spadając w otchłanie wstydu, umierając z głodu...

Recepta tedy zamykająca się w słowie „**kochajcie!**” nie na wszystkie służy choroby.

Może by dodać jej jedną jeszcze ingrediencję<sup>2</sup>, aby skuteczniejsza była.

Jaką?

Powie nam to może karta wydarta z życia kobiety...

\*

Ulica Graniczna<sup>3</sup> jest jedną z dość ożywionych ulic

---

<sup>2</sup> *ingrediencja* – składnik. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *ulica Graniczna* – ulica w śródmieściu Warszawy, oddzielająca Wielopole i

Warszawy. Lat temu parę w bardzo piękny dzień jesienny ulicą tą szło i jechało mnóstwo ludzi, z których każdy śpieszył to do interesów swych, to do przyjemności; nie oglądał się ani na lewo, ani na prawo i wcale a wcale nie zwracał uwagi na to, co działo się w głębi jednego z dziedzińców, ulicy dotykających.

Dziedziniec to był czysty, dość obszerny, z czterech stron otoczony wysokimi murowanymi budowlami. Budowla znajdująca się w głębi była najmniejsza, ale po wielkich oknach, szerokim wejściu i ładnym ganku wejście to przyozdabiającym wnosić można było, że znajdujące się w niej mieszkania były wygodne i ozdobne.

Na ganku stała młoda kobieta w żałobnej sukni z bladą bardzo twarzą. Błada również i w żałobę przyodziana czteroletnia dziewczynka czepiała się rąk jej, które, nie załamane wprawdzie, zwisały jednak bezsilnie, nadając postaci kobiety pozór wielkiego smutku i zniekania.

Z czystych, szerokich wschodów prowadzących na wyższe piętro budowli schodzili wciąż ludzie w grubej odzieży i grubym opylonym obuwiu. Byli tam tragarze niosący najrozmaitsze sprzęty, jakimi tylko napełnionym i przybranym być może mieszkanie, jeśli niezbyt obszerne i wytworne, to przynajmniej ładnie i wygodnie urządzone. Były tam łóżka mahoniowe, kanapy i fotele obite pąsowym wełnianym adamaszkiem, kształtne szafy i komody, parę konsolek nawet z marmurowymi płytami, parę sporych zwierciadeł, dwa wielkie

drzewa oleandrowe w doniczkach i datura, na której gałęziach zwieszało się jeszcze kilka niezupełnie okwitłych kielichów białego kwiecia.

Tragarze wszystkie przedmioty te znosili ze wschodów i mijając stojącą na ganku kobietę ustawiali je na bruku dziedzińca albo umieszczali na dwóch wozach w bliskości bramy stojących, albo jeszcze wynosili na ulicę. Kobieta stała nieruchomo i wiodła oczami za każdym z wynoszonych sprzętów. Znać było, że przedmioty te, z którymi rozstawiała się widocznie, posiadały dla niej nie tylko materialną cenę; żegnała je ona tak, jak się żegna widome znaki, kreślące przed oczami naszymi dzieje znikłej bezpowrotnie przeszłości, jak się żegna niemych świadków utraconego szczęścia. Blade czarnookie dziecko silniej pociągnęło suknię matki.

– Mamo! – szepnęła dziewczynka. – Patrz! Biurko ojca!

Tragarze znosili ze wschodów i ustawiali na wozie obszerne biurko męskie, zielonym suknem obite i ładnie rzeźbioną galeryjką ozdobione. Kobieta w żałobie długim spojrzeniem okryła sprzęt wskazywany jej drobnym paluszkim dziecka.

– Mamo! – szeptała dziewczynka. – Czy widzisz tę wielką czarną plamę na biurku ojca?... Ja pamiętam, jak się to stało... Ojciec siedział przed biurkiem i trzymał mię na kolanach, ty, mamo, przysłaś i chciałaś mię ojcu odebrać. Ojciec śmiał się i nie oddawał mię, ja swawoliłam i rozlałam atrament... Ojciec nie gniewał się. Ojciec był dobry, nigdy nie gniewał się ani na mnie, ani na ciebie...

Dziecko szeptało słowa te, kryjąc twarzyczkę w fałdy żałobnej sukni matczynej, całym drobnym ciałkiem swym tuląc się do jej kolan. Znać i nad tym dziecinnym sercem wspomnienia wywierały już moc swoją, ściskając je bólem nieświadomym samego siebie. Z suchych dotąd oczu kobiety spłynęły dwie łzy grube; chwila, wywołana przed pamięć jej słowami dziecka, zagubiona niegdyś w milionach chwil podobnych jej, codziennych, uśmiechnęła się teraz ku nieszczęśliwej czarującą goryczą utraconego raju. Być może, iż pomyślała także, że swoboda, wesołość owej chwili opłacona została dziś utratą jednego z ostatnich kęsów chleba, pozostałych jej i jej dziecku, opłacona zostanie jutro – głodem; plama atramentowa, powstała wśród śmiechu dziecka i pocałunków rodziców, kilkanaście złotych ujęła wartości sprzętu.

Po biurku ukazał się na dziedzińcu ładny kralowski fortepian, ale kobieta w żałobie obojętniej już za nim wzrokiem powiodła. Nie była znać wcale artystką, instrument muzyczny najmniej obudzał w niej żalów i wspomnień, za to malutkie mahoniowe łóżeczko, orzucone<sup>4</sup> nakryciem z kolorowej włóczki wyrabianym, wyniesione z domu i ustawione na wozie, przykuło do siebie spojrzenie matki, napełniło łzami oczy dziecięcia.

– Łóżeczko moje, mamó! – zawołała dziewczynka. – Ludzie ci i łóżeczko moje zabierają, i tę kołderkę, którąś mi sama zrobiła! Ja nie chcę, aby oni to zabierali! Odbierz, mamó, od nich łóżeczko moje i kołderkę.

---

<sup>4</sup> orzucony – zarzucony, nakryty. [przypis edytorski]

Za całą odpowiedź kobieta przycisnęła silniej do kolan głowę płaczącego dziecka, oczy jej czarne, piękne, zapadłe nieco, suche były znowu, blade, delikatne usta zwarte i milczące.

Ładne dziecięce łóżeczko owo było już ostatnim z wyniesionych sprzętów. Otworzono na oścież bramę, wozy naładowane sprzętami wjechały w ładną ulicę, za nimi odeszli tragarze, niosąc na barkach resztę ciężarów, a zza szyb kilku sąsiednich okien poznikały głowy ludzkie, ciekawie dotąd na dziedziniec wyglądające.

Ze wschodów zstąpiła młoda dziewczyna w okryciu i kapeluszu i stanęła przed kobietą w żałobie.

– Pani – rzekła – załatwiłam już wszystko... zapłaciłam, komu było potrzeba... oto jest reszta pieniędzy...

Mówiąc to młoda dziewczyna podawała kobiecie w żałobie mały zwój asygnat<sup>5</sup>.

Kobieta z wolna zwróciła twarz ku niej.

– Dziękuję ci, Zosiu – rzekła cicho. – Byłaś dla mnie bardzo dobra.

– Pani to byłaś zawsze dobra dla mnie – zawołała dziewczyna – służyłam u pani cztery lata i nigdzie nie było mi i nie będzie już lepiej jak u pani.

Rzekłszy to przeciągnęła po oczach zwilżonych łzami rękę, na której znaczne były ślady igły i żelazka, ale kobieta pochwyciła rękę tę zgrubiałą i uściśnęła ją silnie w swych białych, drobnych dłoniach.

---

<sup>5</sup> *asygnata* – tu: banknot. [przypis edytorski]

– A teraz, Zosiu – rzekła – bądź zdrowa...

– Ja panią odwiozę do nowego mieszkania – zawołała dziewczyna. – Zaraz zawołam dorożki.

W kwadrans po tej rozmowie dwie kobiety i dziecko wysiadały z dorożki przed jedną z kamienic przy ulicy Piwnej<sup>6</sup> stojących.

Kamienica to była wąska od frontu, ale wysoka, trzypiętrowa, pozór<sup>7</sup> miała stary i dość smutny.

Mała Jancia szeroko otwartymi oczami patrzyła na ściany i okna budowy<sup>8</sup>.

– Mamo, czy tu mieszkać będziemy?

– Tu, moje dziecko – cichym zawsze głosem odparła kobieta w żałobie i zwróciła się do stojącego w bramie stróża:

– Proszę pana o klucz do mieszkania, które dwa dni temu najęłam.

– A! Na facjatce<sup>9</sup> zapewne – odparł stróż i dodał. – Niech pani idzie na górę, otworzę zaraz.

Z małego kwadratowego podwórka, z dwóch stron otoczonego ślepym murem ceglastej barwy, a z dwóch innych starymi, drewnianymi drwalniami i spichrzami, kobiety i dziecko weszły

---

<sup>6</sup> *ulica Piwna* – ulica na Starówce w Warszawie, dzielnicy w XIX w. zamieszkałej przez rzemieślników i biedotę, korzystających z kwater w kamienicach czynszowych. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *pozór* – tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *budowa* – tu: budowla. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *facjatka* – mansarda; pomieszczenie w części strychowej budynku, przykryta odrębnym dachem. [przypis edytorski]

na wschody<sup>10</sup> wąskie, ciemne i brudne. Młoda dziewczyna wzięła dziecię w objęcia i poszła przodem, kobieta w żałobie z wolna postępowała za nią.

Izba, której drzwi stróż otworzył, była dość obszerna, ale niska i ciemna, jedno niewielkie okienko, otwierające się nad dachem, źle ją oświetlało, sufit, pochylający się z góry na dół w ukośnej linii, zdawał się uciskać ściany, od których wiał wilgotny zapach wapna, jakim świeżo je znać<sup>11</sup> pobielono.

W kącie obok pieca z prostej cegły był tam niewielki komin do gotowania, naprzeciw pod jedną ze ścian stała niewielka szafka, dalej jeszcze łóżko bez poręczy, kanapka podartym perkalem obita, stół na czarny kolor umalowany i kilka żółtych krzesełek ze słomianą siatką, w części porwaną i wkleśłą.

Kobieta w żałobie zatrzymała się chwilę na progu, obrzuciła izbę powolnym spojrzeniem, po czym, postąpiwszy kilka kroków, opuściła się na kanapkę.

Dziecię stanęło przy matce i nieruchome, blade wodziło dokoła oczami, w których malowały się zdziwienie i przestrah.

Młoda dziewczyna odprawiła dorożkarza, który wniósł do izby dwa małe tłomoczki, i krzatać się zaczęła koło uporządkowania rzeczy z tłomoczków wyjętych.

Nie było ich wiele, porządkowanie więc trwało krótko.

Dziewczyna, nie zdejmując okrycia i kapelusza, ułożyła w jednym z tłomoczków parę sukienek dzieciennych i troszkę

---

<sup>10</sup> *wschody* (daw.) – tu: schody. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *znać* – tu: widocznie. [przypis edytorski]

bielizny, drugi wypróżniony usunęła w kąt izby, łóżko zaściła dwoma poduszkami i wełnianą kołdrą, u okna zawiesiła białą firankę, w szafie ustawiła kilka talerzy i garnuszków, dzbanek gliniany do wody, takąż miednicę, mosiężny lichtarz i mały samowarek. Uczyniwszy to wszystko, wzięła jeszcze zza pieca wiązkę drewek i rozpałała na kominie wesoły ogień.

– Ot, tak – rzekła, powstając z klęczek i twarz zarumienioną od rozdmuchiwania płomienia zwracając ku nieruchomej kobiecie – rozpałałam ogień i zaraz tu będzie pani cieplej i widniej. Drzewo na opał – mówiła dalej – znajdzie pani za piecem, będzie tam jego pewnie na jakie dwa tygodnie, suknie i bielizna w tłomoku, naczynia kuchenne i kredensowe w szafie, świeca wprawiona w lichtarz także w szafie.

Mówiąc to pocziwa sługa zdobywała się widocznie na ton wesoły, ale uśmiech zsuwał się z ust jej, a oczy napływały łzami.

– A teraz – rzekła ciszej, składając ręce – a teraz, pani moja, trzeba mi już iść!

Kobieta w żałobie podniosła głowę.

– Trzeba ci już iść, Zosiu – powtórzyła – to prawda – dodała, rzucając spojrzenie za okno. – Zmierzchać już zaczyna... będzie ci straszno iść wieczorem przez miasto.

– O, nie to, droga pani! – zawołała dziewczyna. – Ja dla pani poszłabym w noc najciemniejszą na koniec świata... ale... nowi moi państwo jutro bardzo rano wyjeżdżają z Warszawy i kazali mi przyjść przed zmrokiem. Muszę iść, bo będę im dziś jeszcze potrzebna...

Przy ostatnich wyrazach młoda służąca schyliła się i ujawszy białą rękę kobiety chciała podnieść ją do ust. Ale kobieta podniosła się nagle i oba ramiona zarzuciła na szyję dziewczyny. Obie płakały, dziecko rozplakało się także i obiema rączkami pochwyciło sukienne okrycie służącej.

– Nie idź, Zosiu! – wołała Jancia. – Nie idź! Tu tak straszno jakoś, tak smutno!

Dziewczyna całowała dawną panią swoją w ramiona i w rękę, przyciskała do piersi płaczące dziecko.

– Muszę, muszę iść! – powtarzała łkając. – Mam biedną matkę i małe siostry, muszę dla nich pracować...

Kobieta w żałobie podniosła twarz bladą i wyprostowała wiotką kibić.

– I ja także, Zosiu, pracować będę – wyrzekła głosem pewniejszym niż ten, którym przemawiała dotąd. – I ja mam dziecko, na które pracować powinnam...

– Niech Pan Bóg cię nie opuszcza i błogosławi, dobra, droga pani moja! – zawołała młoda służąca i raz jeszcze ucałowawszy rękę matki i zapłakaną twarzyczkę dziecka, nie oglądając się, wybiegła z izby.

Po wyjściu dziewczyny zrobiła się w izbie wielka cisza, przerywana tylko trzaskiem ognia palącego się na kominie i gwarem ulicy głucho i niewyraźnie dochodzącym na wysokie poddasze. Kobieta w żałobie siedziała na kanapce, dziecko płakało zrazu, potem przytuliło się do piersi matki, ucichło i zmęczone usnęło. Kobieta wsparła głowę na dłoni, ramieniem

opasała drobną kibić śpiącego na kolanach jej dziecięcia i nieruchomymi oczami wpatrzyła się w migotliwy blask płomienia. Z odejściem wiernej i przywiązanej sługi odeszła od niej ostatnia twarz ludzka, która była świadkiem jej przeszłości, ostatnia podpora, pozostała jej po zniknięciu wszystkiego, co wprzód służyło jej wsparciem, pomocą i usługą. Pozostała teraz sama, oddana na moc losu, trudy samotnej doli, siłę własnych dłoni i głowy, a z nią razem była tylko ta mała, słaba istotka, która mogła tylko przy piersi jej szukać spoczynku, od ust żądać pieczy, z dłoni jej wyglądać pożywienia. Dom jej, niegdyś urządzony dla niej kochającą ręką męża, opuszczony przez nią, przyjmował teraz w ściany nowych mieszkańców; dobry, ukochany człowiek, który dotąd otaczał ją miłością i dostatkiem, od kilku dni spoczywał w mogile...

Wszystko minęło... miłość, dostatek, spokój i pogoda życia, a jedynym śladem znikłej jak sen przeszłości były dla nieszczęśliwej kobiety bolesne wspomnienia i to blade, wątłe dziecię, które teraz, otworzywszy oczy ze snu chwilowego, zarzuciło jej rączka na szyję i drobne usteczka przyciskając do jej twarzy szepnęło:

– Mamo! Daj mi jeść!

Teraz jeszcze prośba ta nie miała w sobie nic takiego, co by obudzić mogło obawę lub smutek w sercu matki. Wdowa sięgnęła do kieszeni i wydobyla pugilares zawierający kilka asygnat – cały majątek jej i córki.

Zarzuciła chustkę na ramiona i powiedziawszy dziecku, aby

spokojnie na powrót jej czekało, wyszła z izby.

W połowie wschodów spotkała stróża, który wiązkę drzewa niósł do jednego z mieszkań, znajdujących się na pierwszym piętrze.

– Kochany panie – rzekła wdowa uprzejmie i nieco nieśmiało – czy nie mógłbyś pan mi przynieść z jakiego bliskiego sklepiu mleka i bułek dla dziecka?

Stróż nie zatrzymując się słów tych wysłuchał, po czym odwrócił głowę i odparł z zaledwie tajoną niechęcią:

– A kto tam ma czas chodzić po mleko i bułki... Ja tu nie dlatego jestem, abym lokatorom jedzenie przynosił.

Wymawiając ostatnie słowa zniknął za załomem muru. Wdowa zstąpiła niżej.

„Nie chciał mi oddać przysługi – myślała – bo domyśla się, że jestem biedna... Tym, od których spodziewa się otrzymać zapłatę, ciężką wiązkę drzewa poniósł.”

Zeszła aż na dziedziniec i rozejrzała się dokoła.

– A czego to pani tak się ogląda? – zabrzmiał koło niej głos kobiety, chropowaty i niemiły.

Wdowa ujrzała stojącą przed niskimi drzwiczkami znajdującymi się w pobliżu bramy kobietę, której twarzy w zmroku nie rozpoznawała, ale której krótka spódnica, wielki płócienny czepiec i gruba chustka krzywo na plecach zarzucona, a także dźwięk głosu i ton mówienia oznajmiały kobietę z ludu. Wdowa domyśliła się w niej żony stróża.

– Moja dobra pani – rzekła – czy nie znajdę tu kogo, kto by

mi przyniósł mleka i bułek?

Kobieta namyślała się chwilę.

– A z którego to piętra? – zapytała. – Cościś ja pani jeszcze nie znam.

– Dziś zamieszkałam na facjatce...

– A, na facjatce! To po cóż asani gadasz o przynoszeniu ci tam czegoś? Nie możesz sama pójść do miasta?

– Zapłaciłabym za fatygę – szepnęła wdowa, ale żona stróża nie słyszała czy udała, że nie słyszy słów jej, otuliła się lepiej chustką i zniknęła za małymi drzwiczkami.

Wdowa stała przez chwilę nieruchoma, nie wiedząc widocznie, co czynić i do kogo się już udać, westchnęła i opuściła ręce; po chwili jednak podniosła głowę i wszedłszy w bramę otworzyła furtkę wiodącą na ulicę.

Wieczór nie był jeszcze późny, ale dość ciemny, rzadkie latarnie źle oświecały ulicę wąską i napelnioną tłumami ludzi; na chodnikach były szerokie miejsca w zupełnych prawie pograżone cieniach. Fala chłodnego jesienno wiatru wpłynęła w bramę przez otwartą furtkę, rzuciła się w twarz wdowy i zakręciła końcami czarnej jej chustki; turkot dorożek i gwar zmieszanych rozmów ogłuszył ją, cienie zalegające chodniki przeraziły. Cofnęła się kilka kroków w głąb bramy i stała znowu chwilę ze spuszczoną głową, nagle jednak wyprostowała się i postąpiła naprzód. Przypomniła sobie może dziecko swe, które czekało pożywienia, albo uczuła, iż powinna była zdobyć od woli swej i odwagi to, co odtąd zdobywać już jej przyjdzie w każdym

dniu, w każdej godzinie. Zarzuciła chustkę na głowę i przestąpiła próg furtki. Nie wiedziała, w której stronie szukać należało sklepiku z wiktuałami. Uszła spory kawał, pilnie przyglądając się wystawom okien sklepowych, minęła parę dystrybucji cygar, jakąś kawiarnię, jakiś sklep z bławatnymi towarami i wróciła. Nie śmiała dalej zapuszczać się w ulicę ani prosić kogo o objaśnienie. Udała się w inną stronę. Po kwadransie wracała z kilku bułkami w białej chusteczce. Mleka nie przynosiła: nie było go w sklepiku, w którym znalazła bułki. Nie chciała, nie mogła szukać dłużej, niespokojna była o dziecko, wracała szybko, biegła prawie. Była już o kilka kroków od bramy, gdy tuż za sobą usłyszała głos męski nucący piosenkę: „Stój, zaczekaj, moja duszko; skąd drobnutką strzyżesz nóżką”. Usiłowała w duchu upewnić siebie, że piosenka nie do niej się stosuje, przyśpieszyła kroku i już dotykała furtki, gdy głos śpiewający przemienił się w mówiący.

– Dokąd tak pilno? Dokąd? Wieczór piękny! Może by trochę pospacerować!

Bez tchu, drżąca cała z trwogi i obrazy, młoda wdowa wpadła w bramę i furtkę za sobą zatrzasnęła. W parę minut potem Jancia, widząc wchodzącą do izby matkę, rzuciła się ku niej, tuląc się w jej objęcia.

– Tak długo nie wracałaś, mamó! – zawołała, ale nagle umilkła i wpatrzyła się w matkę. – Mamó, ty znowu płaczesz i znowu wyglądasz tak... tak jak wtedy, gdy ojca wynoszono w trumnie z naszego mieszkania.

Młoda kobieta drżała w istocie całym ciałem, łzy obfite płynęły po rozognionych jej policzkach. To, co przeniosła<sup>12</sup> przez kwadrans wycieczki swej na miasto, walka z trwóżliwością własną, szybki bieg po śliskiej ulicy wśród tłumu ludzi i zimnych fal wichru, obelga nade wszystko, doznana od nieznanego wprawdzie człowieka, ale doznana po raz pierwszy w życiu, wstrząsnęły nią do głębi. Znać było jednak, że postanowiła zwyciężać samą siebie na każdym kroku, bo szybko uspokoiła się, otarła łzy, pocałowała dziecko i rozniecając ogień na kominie rzekła:

– Przyniosłam ci bułek, Janciu, a teraz nastawię samowar i urządzę herbatę.

Wzięła z szafy gliniany dzbanek i zaleciwszy dziecku ostrożność z ogniem, zeszła znowu na dziedziniec ku studni. Wróciła niebawem zdyszana i zmęczona, z ramieniem uginającym się pod ciężarem dzbanka napelnionego wodą; nie spoczęła jednak ani chwili, tylko zaraz wzięła się do nastawiania samowaru. Czynność ta, którą spełniała widocznie po raz pierwszy w życiu, szła jej z trudnością, niemniej przeto w niespełna godzinę herbata była wypita, Jancia rozebrana i uśpiona. Równy, cichy oddech dziecka oznajmiał sen spokojny, z bladej twarzyczki zniknęły ślady łez, tak obficie przez dzień cały wylewanych.

Ale młoda matka nie spała; w żałobnej sukni swej, z rozpuszczonymi czarnymi warkoczami, z twarzą opartą na

---

<sup>12</sup> *przenieść coś* – tu: przejść, doświadczyć czegoś. [przypis edytorski]

dłoni, siedziała nieruchoma naprzeciw dogasającego ogniska i myślała. Zrazu gryząca boleść sfałdowała białe czoło jej w kilka zmarszczek głębokich, oczy zaszyły łzami, pierś, podnosiła się ciężkim westchnieniem. Po chwili jednak wstrząsnęła głową, jakby odpędzić chciała oblegające ją tłumy żalów i obaw, powstała, wyprostowała kibić i rzekła z cicha:

– Nowe życie!

Tak, kobieta ta, młoda, piękna, z białymi rękami i wiotką kibicią, wstępowała w nowe dla siebie życie, dzień ten miał być dla niej początkiem nieznanej przyszłości.

Jakąż była jej przeszłość?

\*

Przeszłość Marty Świckiej krótka była ze względu na lata, prosta ze względu na wypadki.

Marta urodziła się w dworcu szlacheckim, niezbyt wspaniałym i bogatym, ale ozdobnym i wygodnym.

Posiadłość ojca jej, o kilka mil zaledwie od Warszawy położona, składała się z kilkunastu włók urodzajnej ziemi, kwiecistej, sporą przestrzeń gruntu zajmującej łąki, pięknego brzozowego gaju, który dostarczał opału w zimie i ponętnych przechadzek w lecie, z obszernego sadu pełnego drzew owocowych i ładnego domku z sześciu frontowymi oknami, wychodzącymi na okrągło wykrojony, gładką murawą zasłany dziedziniec, z zielonymi, wesoło wyglądającymi żaluzjami, z

gankiem o czterech słupach, na które pięły się fasole z pąsowym kwieciem i powoje o bujnych liliowych kielichach.

Nad kolebką tedy Marty słowiki śpiewały i stare lipy poważnymi czołami powiewały, róże kwitły i kłosa pszeniczne fale złota toczyły. Pochylała się też nad nią piękna twarz matki i gorącymi pocałunkami okrywała czarnowłosą główkę dziecięcia.

Matka Marty była kobietą piękną i dobrą, ojciec człowiekiem ukształconym i także dobrym. Jedyne dziecko rodziców tych wzrastało wśród miłości ludzi i pieśczot dostatku.

Pierwszą boleścią, która spadła na bezchmurne dotąd życie pięknej, wesołej, hożej dziewczyny, była utrata matki. Marta miała wtedy lat szesnaście, rozpaczała czas jakiś, tęskniła długo, ale młodość balsam gojący położyła na pierwszą ranę jej serca, rumieńce odkwitły na jej twarzy, wesołość, nadzieje i marzenia wróciły.

Inne przecież kłęski nadeszły wkrótce. Ojciec Marty w części nieopatrznością własną, a głównie wskutek zaszłych w kraju zmian ekonomicznych ujrzał się zagrożonym utratą swej posiadłości. Zdrowie jego zachwiało się, przewidywał zarówno upadek swej fortuny jak bliski koniec życia. Los jednak Marty zdawał się już wtedy zabezpieczonym. Kochała i była kochana.

Jan Świcki, młody urzędnik zajmujący dość wysoką już posadę w jednym z biur rządowych w Warszawie, pokochał piękną czarnooką pannę i wzbudził w niej wzajemne uczucie szacunku i miłości. Ślub Marty o kilka tygodni zaledwie

poprzedził śmierć jej ojca. Zrujnowany szlachcic, który niegdyś marzył może dla jedynaczki swej o świetniejszym losie, z radością składał dłoń jej w rękę niemającego, lecz pracowitego człowieka; myśląc, iż wraz z odejściem Marty od ślubnego ołtarza przyszłość jej otrzymała dostateczne ochrony od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa, umarł spokojnie.

Marta po raz drugi w życiu spotkała się z wielką boleścią, ale tym razem koła ją nie tylko już sama młodość, ale i miłość żony, a potem matki. Piękne miejsce jej rodzinne zostało dla niej na zawsze straconym, przeszło w ręce ludzi obcych, ale natomiast ukochany i kochający mąż wśród gwaru miejskiego usławił jej miękkie, ciepłe, wygodne gniazdo, w którym wkrótce ozwał się srebrzysty głos dziecięcia.

Śród uciech i obowiązków rodzinnych pięć lat zeszło dla młodej kobiety szczęśliwie i szybko.

Jan Świcki pracował sumiennie i umiejętnie, pobierał znaczną płacę, dość znaczną, aby móc otoczyć kobietę, którą kochał, wszystkim, do czego od kolebki przywykła, co stanowić mogło urok każdej chwili, spokój każdego jutra. Każdego? Nie! Najbliższego tylko. Jan Świcki nie był dość opatrzny, aby myśleć o dalszej przyszłości z najmniejszym choćby uszczerbkiem dla pory obecnej.

Młody, silny, pracowity, liczył na młodość swą, siłę i pracowitość, myśląc, iż skarby te nie wyczerpią się nigdy. Wyczerpały się jednak zbyt prędko. Mąż Marty uległ chorobie ciężkiej i nagłej, z której nie uratowały go rady lekarzy ani

starania zrozpaczonej żony. Umarł. Wraz ze śmiercią jego skończyło się nie tylko szczęście domowe Marty, ale usunęła się spod stóp jej podstawa materialnego jej bytu.

Nie na zawsze więc ślubny ołtarz uratował młodą kobietę od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa. Stary jak świat aksjomat opiewający, że nic nie ma stałego na świecie, sprawdził się na niej o tyle, o ile jest prawdziwym. Nie jest on bowiem prawdziwym w zupełności. Wszystko, co z zewnątrz ku człowiekowi przybywa, mija i mieni się<sup>13</sup> dokoła niego pod wpływem tych tysięcznych prądów i zagmatwień, jakimi postępują, w jakie wiążą się społeczne stosunki i ustawy, pod wpływem częstokroć najstraszniejszym, bo najmniej przewidzieć i obrachować się dającym, ślepego trafu. Ale los człowieka na ziemi byłby w istocie pożałowania godnym, gdyby cała moc, wszystkie bogactwa i rękojmie jego zawierały się w tych tylko żywiołach zewnętrznych, zmiennych i umkliwych jak fale wodne, poddane rozkazom wichrów. Tak, nic nie ma stałego na ziemi prócz tego, co człowiek posiada we własnej piersi i głowie: prócz wiedzy, która wskazuje drogi i uczy stąpać po nich, prócz pracy, która rozjaśnia samotność i odżegnywa<sup>14</sup> nędzę, prócz doświadczenia, które naucza, i wysoko podniesionych uczuć, które od złego chronią. I tu jeszcze stałość względna<sup>15</sup>

---

<sup>13</sup> *mienić się* (daw.) – zmieniać się. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *odżegnywa* – dziś popr. forma: odżegnuje; odgania. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *względny* – zależny od różnych względów, uwarunkowań; warunkowy. [przypis edytorski]

jest zapewne, łamie je posępna, lecz niezłomna potęga choroby i śmierci. Ale dopóki niewzruszenie i prawidłowo trwa i rozwija się ten proces ruchu, myśli i uczuć ludzkich, który zwie się życiem, póty człowiek nie rozstaje się z samym sobą, póty sam sobie służy, dopomaga, stale podpira się tym, co uzbierać sobie zdołał w przeszłości, co służy mu orężem w walce z zawikłaniami życia, ze zmiennością losu, z okrucieństwem trafu.

Martę zawiodło i opuściło wszystko, co przybywając z zewnątrz przyjaznym jej było dotąd i opiekuńczym. Los, jakiemu uległa, nie był wcale wyjątkowym losem, nieszczęście jej nie wzięło źródła z dziwnej jakiejś, niepospolitej przygody, ze zdumiewającej jakiejś, w rocznikach ludzkości rzadko pojawiającej się katastrofy. Ruina i śmierć odgrywały dotąd w życiu jej rolę niszczycielek spokoju i szczęścia. Cóż pospolitszego wszędzie, coś mianowicie w społeczeństwie naszym pospolitszego nad pierwszą, co konieczniejszego, częstszego, bardziej nieuniknionego nad drugą?

Marta spotkała się oko w oko z tym, z czym spotykają się miliony ludzi, miliony kobiet. Któż w życiu swym po wielekroć nie napotkał ludzi płaczących nad wodami Babilonu opływającymi gruzy utraconej fortuny<sup>16</sup>? Kto zrachuje, ile razy w życiu swym patrzył na szatę wdowią, na blade twarze i łzami zmęczone oczy sierot?

Wszystko więc, co towarzyszyło dotąd życiu młodej kobiety, rozstało się z nią, umknęło od niej, ale ona nie rozstała się z samą

---

<sup>16</sup> *fortuna* – tu: szczęście, powodzenie. [przypis edytorski]

sobą. Czym mogła być sama dla siebie samej? Co uzbierać sobie zdołała w przeszłości? Jakie orężę wiedzy, woli, doświadczenia służyć jej mogły w walce z zawiłkami społecznymi, biedą, trafem, samotnością? W pytaniach tych mieściła się zagadka jej przyszłości, kwestia życia i śmierci jej, i nie tylko jej, ale jeszcze i jej dziecka.

Materialnie młoda matka ta nie posiadała nic albo prawie nic. Paręset złotych, pozostałe ze sprzedaży sprzętów po opłaceniu drobnych długów i kosztów pogrzebu męża, trochę bielizny, dwie suknie – stanowiły cały jej majątek. Klejnotów wielkiej ceny nie miała nigdy; te, które miała, spieniężone przez nią w czasie choroby męża, zapłaciły nadaremne rady lekarskie i również nadaremne leki. Ubogie nawet sprzęty napełniające nowe jej siedlisko nie były jej własnością. Wynajęła je razem z izbą na poddaszu, za używanie ich, również jak za izbę, płacić obowiązała się z każdym pierwszym dniem każdego miesiąca.

Była to teraźniejszość smutna zapewne, naga, ale wyraźnie już określona. Nieokreślona pozostawała przyszłość. Trzeba ją było zdobyć, stworzyć niemal.

Czy młoda, piękna ta kobieta ze smukłą kibicią, białymi rękami i jedwabistym kruczym włosom, opływającym kształtną głowę, posiadała jaką siłę zdobywczą? Czy z przeszłości swej wyniosła cokolwiek, z czego by stworzyć mogła przyszłość? Myślała o tym, siedząc na niskim drewnianym stołku przed żarzącymi się węglami ogniska. Oczy jej z wyrazem niewymownej miłości tkwiły w dziecięcej twarzyczce, spokojnie

uśpionej wśród bieli poduszek.

– Dla niej – wymówiła po chwili – dla siebie, na chleb, na dach, na spokój pracować będę!

Stała przed oknem. Noc była ciemna, Marta nie widziała nic: ani stromych dachów, które jeżyły się poniżej wysokiego poddasza mnóstwem wschodów i załomów, ani ciemnych, zakopconych kominów nad dachami sterczących, ani latarni ulicznych, których mętne blaski nie osiągały wysokości jej okienka. Nie widziała nawet nieba, bo pokryte było chmurami i nie świeciło żadną gwiazdą. Ale gwar wielkiego miasta dochodził uszu jej nieustannie, choć nocny, ogłuszający, choć stłumiony odległością. Pora nie była zbyt późna; na szerokich, wspaniałych ulicach zarówno jak wśród ciasnych i mrocznych uliczek ludzie chodzili jeszcze, jeździli, gonili za przyjemnością, szukali zysku, biegli tam, gdzie wzywała ich ciekawość myśli, rozkosz serca lub nadzieja zdobywcy.

Marta opuściła czoło na splecione ręce i zamknęła oczy. Wsłuchiwała się w tysiączne głosy, zlane w jeden głos olbrzymi i choć niewyraźny, monotony, a jednak pełen gorączkowych wybuchów, nagłych uciszeń się, głuchych wykrzyków i tajemniczych szmerów. Wielkie miasto stało przed oczami wyobraźni jej w kształcie olbrzymiego ula, w którym poruszało się, wrzało życiem i gonitwą mnóstwo istot ludzkich. Każda z istot tych posiadała miejsce, na którym pracowała, i to, na którym spoczywała, cele, do jakich dążyła, narzędzia, jakimi drogę sobie torowała wśród tłumu. Jakim będzie dla niej, dla

biednej, w bezbrzeżną samotność strąconej kobiety, miejsce pracy i spoczynku? Kędy<sup>17</sup> ten cel, do którego podąży ona? Skąd wezmą się oręże, które uturują drogę ubogiej i opuszczonej? A także jakimi będą dla niej te istoty ludzkie, które tam tak gwarzą nieustannie, z których oddechu powstaje ten szmer gorączkowy, w którego to podnoszących się, to opadających falach ona teraz słuch swój zatapia? Będąż<sup>18</sup> one dla niej sprawiedliwymi lub okrutnymi, litościwymi lub miłosiernymi? Otworząż<sup>19</sup> się przed krokami jej te ściśle zwarte falangi<sup>20</sup> tłoczące się ku szczęściu i dobrobytowi lub zewrą się ściślej jeszcze, aby nowo przybyła nie zwęziła im miejsca, nie ubiegła której z nich w mozolnej gonitwie? Jakie ustawy i obyczaje przyjaznymi jej będą, a jakie wrogimi, i których więcej będzie, pierwszych czy drugich? Nade wszystko zaś, nade wszystko – potrafiż<sup>21</sup> ona sama przewycięzać żywioły wrogie, wyzyskiwać przyjazne, każdą chwilę, każde uderzenie serca, każdą myśl przelatującą przez głowę? Każde drgnienie poruszające fibrami<sup>22</sup> ciała skupić

---

<sup>17</sup> *kędy* (daw.) – gdzie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *będąż* – konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż; znaczenie: czy będą. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *otworząż* – konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż; znaczenie: czy otworzą. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *falanga* – oddział; pierwotnie: oddział bojowy piechoty w staroż. Grecji. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *potrafiż* – konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż; znaczenie: czy potrafi. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *fibry* – włókna. [przypis edytorski]

w jedną moc rozumną, wytrwałą, niespożytą, w moc taką, jaka jedynie odegnać zdoła nędzę, zabezpieczyć od poniżenia się godność człowieka, uchronić od bezowocnych bólów, rozpacz i – śmierci głodowej?

W pytaniach tych skupiła się cała dusza Marty.

Wspomnienia rozkoszne i zarazem gryzące, wspomnienia kobiety, która niegdyś, hożym i wesołym będąc dziewczęciem, lekkimi stopami deptała świeżą murawę i barwne kwiecie rodzinnej wioski, potem u boku ukochanego męża pędziła dni szczęśliwe, wolne od trosk i smutków, a teraz we wdowiej szacie stała u małego okienka poddasza, z bladym czołem opuszczonym na załamane dłonie; wspomnienia kobiety, które przez cały dzień miniony otaczały ją rojem widm nęcących po to, aby krwawić i rozdzierać, uleciały teraz od niej przed groźnym, tajemniczym, lecz dotykającym jak rzeczywistość zjawiskiem teraźniejszości. Zjawisko to pochłaniało jej myśli, ale nie znać było, aby ją przerażało. Czy odwagę swą czerpała z miłości macierzyńskiej napełniającej jej serce? Czy posiadała w sobie tę dumę, która brzydzi się trwogą? Czy... nie znała świata i samej siebie? Nie lękała się. Gdy podniosła twarz, były na niej ślady łez, obficie od dni kilku wylewanych, był na niej wyraz żalu i tęsknoty, ale obawy i zwątpienia nie było.

\*

Nazajutrz po przeniesieniu się swym na poddasze Marta o

godzinie dziesiątej z rana była już na mieście.

Pilno jej znać<sup>23</sup> było dojść do celu, paląca jakaś myśl, niespokojna nadzieja – popędzały ją naprzód, bo szła prędko, a zwolniła kroku wtedy dopiero, gdy znalazła się na ulicy Długiej. Tu jednak szła już coraz wolniej, słaby rumieniec wybił się na blade jej policzki, oddech stał się śpieszniejszym, jak bywa zwykle przy zbliżaniu się chwili upragnionej i zarazem strasznej, wzywającej do wysilenia wszystkie władze umysłu i woli, obudzającej nadzieję, nieśmiałość. Kto wie? Wstyd może mimowolny, z przyzwyczajenia całego życia, z surowej nowości położenia powstały.

Przed bramą jednej z najpokaźniejszych kamienic zatrzymała się, spojrzała na numer domu. Był znać tym samym, który miała w pamięci, bo po jednym dłuższym nieco i głębszym odetchnięciu z wolna zaczęła wstępować na widne i szerokie wschody<sup>24</sup>.

Zaledwie przebyła kilkanaście stopni, ujrzała zstępujące dwie kobiety. Jedna z nich ubrana była starannie, z pewnym nawet wykwintem, postawę miała pewną siebie, wyraz twarzy więcej niż spokojny, bo zadowolony. Druga, młodsza, bardzo młoda, w ciemnej wełnianej sukience, wyszarzałym nieco szalu na ramionach, w kapelusiku, który widocznie niejedną już jesień pamiętał, szła z opuszczonymi rękami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zaczerwienione nieco powieki, blada cera twarzy i

---

<sup>23</sup> znać – tu: widocznie. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> wschody (daw.) – tu: schody. [przypis edytorski]

szczupłość kibici nadawały całej postaci młodziutkiej i dość ładnej dziewczyny tej wyraz smutku, słabości i zmęczenia. Dwie te kobiety znały się widać z bliska, bo rozmawiały z sobą poufnie.

– Boże mój, Boże! – mówiła młodsza z cicha i nieco jękliwie.  
– Co ja teraz, nieszczęśliwa, pocznę? Ostatnia nadzieja mnie zawiodła. Jak powiem matce, że i dziś jeszcze nie dostałam lekcji, rozchoruje się gorzej... A tu i jeść w domu tak dobrze, jak nie ma już czego...

– No, no – odrzekła starsza tonem, w którym obok współczucia odzywała się struna silnie uczuwaney wyższości własnej – nie martw się tak bardzo! Oto popracuj jeszcze trochę nad muzyką...

– Ach! Gdybym ja tak grać mogła jak pani! – zawołała młodsza. – Ale nie mogę...

– Talentu nie masz, kochanko! – wymówiła starsza. – Cóż robić? Talentu nie masz!

Zamieniając te wyrazy dwie kobiety mijały Martę. Były tak zajęte, jedna zadowoleniem swym, druga swym smutkiem, że najmniejszej nie zwróciły uwagi na kobietę, której żałobna suknia z bliska przesunęła się koło nich. Ale ona stanęła nagle i wiodła za nimi wzrokiem. Były widocznie nauczycielkami, które opuszczały miejsce, do jakiego ona dążyła. Jedna z nich wprawdzie odchodziła z twarzą promieniejącą, ale druga ze łzami. Za pół godziny, za kwadrans może, ona także zstępować będzie z tych wschodów, po których teraz wstępuje. Czy radość, czy łzy dostaną się jej w udziale? Serce jej uderzało silnie,

gdy poruszyła dzwonek przytwierdzony do drzwi, na których połyskiwała mosiężna blacha z napisem:

BIURO INFORMACYJNE DLA NAUCZYCIELI I  
NAUCZYCIELEK LUDWIKI ŻMIŃSKIEJ

Z małego przedpokoiku, którego drzwi otworzyły się na odgłos dzwonka, Marta weszła do obszernego pokoju, oświetlonego dwoma wielkimi oknami na ludną ulicę wychodzącymi, ostawionego ładnymi sprzętami, spośród których wyróżniał się i wchodzącemu od razu w oczy wpadał nowiutki, bardzo ozdobny i kosztowny fortepian.

W pokoju znajdowały się trzy osoby, z których jedna powstała na spotkanie Marty. Była to kobieta średniego wieku, z włosami niepewnego koloru, gładko przyczesanymi pod kształtnym białym czepeczkiem, z postawą trochę sztywną. Twarz jej, dość regularnych rysów, nie nosiła na sobie żadnej wyraźnej cechy i tak jak popielata suknia, pozbawiona wszelkich ozdób i rzędem monotonnych guzików spięta na piersi, nie raziła niczym i niczym nie pociągała. Była to postać od stóp do głowy obleczona w wyraz urzędowości; kobieta ta umiała może w innych porach i w innym miejscu uśmiechać się swobodnie, patrzeć z czułością, serdecznym ruchem wyciągnąć dłoń do uścisku, ale tu, w saloniku tym, w którym przyjmowała osoby wzywające jej porady i pomocy, występowała w charakterze urzędowej pośredniczki pomiędzy osobami tymi a społeczeństwem, była taka, jaka zapewne być była powinna, grzeczna i przyzwoita, ale powściągliwa i ostrożna. Salonik ten miał tylko pozór saloniku;

w gruncie był miejscem handlu takim, jakim bywają wszelkie inne miejsca handlu; właścicielka jego ofiarowywała porady swe, wskazówki, stosunki tym, którzy ich od niej żądali, w zamian wzajemnej usługi tłumaczącej się monetą. Był to także czyściec, przez który przechodziły dusze ludzkie, wstępując zeń w niebo zdobytej pracy lub zstępując w piekło przymusowego bezrobocia.

Marta zatrzymała się chwilę przy drzwiach i ogarnęła wzrokiem twarz i postać postępującej na spotkanie jej kobiety. Oczy jej, które wczoraj napełniały się co chwila łzami, dziś suche i połyskliwe, nabrały wyrazu niepospolitej bystrości, przenikliwości niemal. Skupiły się w nich widocznie wszystkie władze myślenia młodej kobiety i usiłowały przez zewnętrzną powłokę przedrzeć się w głębię istoty, której usta wydać miały sąd o przyszłej niedoli jej lub spokoju. Pierwszy to raz w swym życiu Marta przychodziła do kogoś za interesem; interes zaś ten był jednym z najważniejszych interesów ludzi biednych: potrzeba zarobku.

– Pani dobrodziejka do biura informacyjnego zapewne? – wymówiła gospodyni domu.

– Tak, pani – odrzekła przybywająca i dodała. – Jestem Marta Świcka.

– Chciej pani usiąść i poczekać chwilę, aż ukończę rozmowę z tymi paniami, które przybyły pierwiej.

Marta usiadła na wskazanym sobie fotelu i teraz dopiero zwróciła uwagę na dwie inne znajdujące się w pokoju osoby.

Osoby te różniły się ze sobą niezmiernie wiekiem, ubiorem i powierzchownością. Jedną z nich była dwudziestoletnia może panna, bardzo ładna, z uśmiechem na różowych ustach, z błękitnymi oczami, które patrzyły pogodnie, prawie wesoło, w jedwabnej sukni jasnego koloru i malutkim kapelusiku, pięknie strojącym jasnopłowe włosy. Z nią właśnie rozmawiać musiała Ludwika Żmińska przed wejściem Marty, bo do niej zwróciła się zaraz po przywitaniu przybyłej. Mówiła po angielsku, a z pierwszych zaraz wyrazów odpowiedzi młodej panny odgadnąć w niej można było rodowitą Angielkę. Marta nie rozumiała rozmowy dwóch kobiet, bo nie znała języka, którym ją prowadzono, widziała tylko, że swobodny uśmiech nie znikał z ust pięknej Angielki, że twarz jej, postawa i sposób mówienia wyrażały śmiałość osoby przywykłej do powodzenia, pewnej siebie i losu, który ją czeka.

Po krótkiej rozmowie gospodyni domu wzięła ćwiartkę papieru i poczęła zakreślać ją bieglym pismem.

Marta z wyteżoną uwagą ścigająca szczegóły sceny, która bliską łączność miała z własnym jej położeniem, widziała, że Ludwika Żmińska pisała list po francusku, umieściła w nim cyfrę wyrażającą sumę 600 rubli, na kopercie zaś wypisała jedno z hrabiowskich nazwisk krajowych i dodała doń nazwę najpiękniejszej w Warszawie ulicy. Uczyniwszy to wszystko z grzecznym uśmiechem wręczyła pismo Angielce, która powstała, skłoniła się i wyszła z pokoju krokiem lekkim, z głową podniesioną i uśmiechem zadowolenia na ustach.

„Sześćset rubli rocznie – myślała Marta – jakież to bogactwa, mój Boże! Jakie to szczęście móc tyle zarobić! Gdyby mi choć połowę sumy tej przyrzeczono, byłabym spokojna o Jancię i o siebie!”

Myśląc tak, młoda kobieta z zajęciem i mimowolnym politowaniem spoglądała na osobę, z którą po odejściu Angielki gospodyni domu rozmowę rozpoczęła.

Była to kobieta mogąca mieć około lat sześćdziesięciu, drobna, chuda, ze zwiędłą twarzą, okrytą mnóstwem zmarszczek, z zupełnie prawie białymi włosami, w dwa gładkie pasma przyczesanymi pod kapeluszem czarnym, zmiętym i bardzo dawną modę pamiętającym. Czarna wełniana suknia i jedwabna starożytna mantylka zwisały na chudym ciele staruszki, ręce jej, przezroczyście, białe i drobne, niespokojnym ruchem mięły wciąż i obracały w kościstych palcach leżącą na kolanach białą, płócienną chustkę. Podobna<sup>25</sup> niespokojność malowała się w błękitnych znać niegdyś, lecz teraz spłowiałych i pozbawionych blasku jej źrenicach, które to podnosiły się na twarz gospodyni domu, to okrywały się zaczerwienionymi powiekami, to przebiegały z przedmiotu na przedmiot, odzwierciedlając tym niejako niepokój i bolesne targanie się steranego umysłu, szukającego dla siebie jakiegoś niby punktu oparcia, jakiegoś przytułku i ukojenia.

– Czy pani byłaś już kiedy nauczycielką? – wymówiła po

---

<sup>25</sup> *podobnaż* – konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

francusku Ludwika Żmińska, zwracając się do staruszki.

Biedna kobieta poruszyła się na krześle, przebiegła oczami wzdłuż i wszerz przeciwległą ścianę, konwulsyjnym ruchem zacisnęła palce wkoło zwiniętej w kłęb chustki i zaczęła z cicha:

– *Non, madame, c'est le première fois que je... je*<sup>26</sup>...

Urwała; szukała widocznie obcych wyrazów, którymi by wypowiedzieć mogła myśl swoją, ale one umykały zmęczonej jej pamięci.

– *J'avais*<sup>27</sup>... – zaczęła po chwili – *j'a vais la fortune... mon fils avait le malheur de la perdre*<sup>28</sup>...

Gospodyni domu zimna i wyprostowana siedziała na kanapie. Błędy językowe, popełniane przez staruszkę, trudna i przykro brzmiąca jej wymowa nie wywołały na usta jej uśmiechu, tak jak znękanie jej i bolesny niepokój nie zdawały się budzić w niej współczucia.

– To smutno – rzekła – i pani tego jednego tylko masz syna?

– Nie mam go już! – zawołała po polsku stara kobieta, lecz nagle przypominając sobie obowiązek wykazania umiejętności obcej mowy, dodała:

– *Il est mourru par désespoir*<sup>29</sup>!

---

<sup>26</sup> *Non, madame, c'est le première fois que je... je...* (fr.) – Nie, proszę pani, ja po raz pierwszy (błąd w rodzajniku, powinno być: *la première fois*). [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *j'avais* (fr.) – miałam (tu: czasownik pomocniczy konstrukcji czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *j'a vais la fortune... mon fils avait le malheur de la perdre* (z fr.) – ja miałam szczęście, mój syn miał nieszczęście je utracić. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *il est mourru par désespoir* – umarł z rozpaczy (błąd w formie czasownikowej,

Spłowiąłe źrenice staruszki nie zwilżyły się łzą ani zaświeciły najmniejszym blaskiem, gdy wymawiała ostatnie wyrazy, ale blade, wąskie usta jej drgnęły wśród roju otaczających je zmarszczek i pierś wklęsa zadrżała pod staroświecką mantylką.

– Pani posiadasz muzykę? – zapytała gospodyni domu po polsku, jakby z kilku słów zamienionych dostatecznie już oświadczona została z francuskim ukształceniem staruszki.

– Grywałam kiedyś, ale... bardzo już dawno... nie wiem doprawdy, czy mogłabym już teraz...

– A więc może niemiecki język...

Za całą odpowiedź staruszka przecząco wstrząsnęła głową.

– A więc czegoż pani dobrodziejka nauczać może?

Pytanie to zadane było tonem grzecznym wprawdzie, ale zarazem tak suchym i zimnym, że znaczyło tyleż, ile wyraźna odprawa. Stara kobieta przecież nie rozumiała lub wysiliła się na niezrozumienie. Francuski język był znać tą z umiejętności jej, na którą rachowała najwięcej – przez którą spodziewała się otrzymać kęs chleba, mający uchronić od nędzy ostatnie dni steranego jej życia. Czując, że grunt usuwa się pod jej stopami, że właścicielka biura informacyjnego zamierza ukończyć rozmowę z nią, nie udzieliwszy jej żadnej informacji, pochwyciła tę jedyną, ostatnią według niej deskę zbawienia i coraz silniej mnąc płócienną chustkę w drżących palcach, pośpiesznie zaczęła:

– *La géographie, la histoire, les commencements de*

---

powinno być: *il est mort* w passé composé a. *il mourut* w passé simple). [przypis edytorski]

## *L'arithmétique...*

Umilkła nagle i osłupiały wzrok utkwiała w przeciwniejsze ścianie, bo Ludwika Żmińska powstała.

– Przykro mi to bardzo – zaczęła z wolna gospodyni domu – ale nie mam obecnie na widoku żadnego miejsca, które by dla pani odpowiednim być mogło...

Skończyła i stała z rękami założonymi na surowym staniku popielatej sukni, oczekując wyraźnie pożegnania. Ale staruszka siedziała jak przykuta do miejsca, ruchliwe dotąd ręce jej i oczy znieruchomiały, blade usta za to roztworzyły się i drgały nerwowo.

– Żadnego! – wyszeptała po chwili. – Żadnego! – powtórzyła i sztywna, niezależną jakby od niej samej mocą poruszona, z wolna podniosła się z krzesła.

Nie odchodziła jednak. Teraz dopiero powieki jej nabrzmiwały, blade źrenice zasłży szklistą powłoką. Oparła trzęsącą się dłoń na poręczu krzesła i rzekła z cicha:

– Może potem... może kiedykolwiek potem... będzie jakie miejsce...

– Nie, pani, przyrzekać nie mogę – jednostajnie zawsze grzecznie i sztywnie odrzekła gospodyni domu.

Przez parę sekund zupełne milczenie panowało w pokoju. Nagle po zmarszczonych policzkach starej kobiety popłynęły dwa strumienie bujnych, obfitych łez. Nie wydała jednak żadnego głosu, nie wymówiła ani jednego słowa, skłoniła się gospodyni domu i szybko opuściła pokój. Wstydziła się może łez

swych i pragnęła ukryć je co najprędzej, albo może do miejsca innego, lecz podobnego temu, jakie opuszczała, śpieszyła z nową nadzieją po nowy zawód...

Teraz Marta została sam na sam z kobietą, która rozstrzygać miała kwestię spełnienia lub upadku najdroższych dla niej nadziei, najusilniejszych pragnień. Nie czuła się przełęknięta, tylko głęboko smutna.

Sceny, które od kilku chwil przesuwwały się przed jej oczami, wywarły na umyśle jej silne wrażenie, tym silniejsze, że całkiem nowe. Nie była przyzwyczajona do widoku ludzi szukających zarobku, upędzających się za kęsem chleba, nie odgadywała, nie przeczuwała nigdy, aby gonitwa ta zawierała tyle w sobie niepokojów, udręczeń, zawodów. Praca zjawiała się w wyobraźni Marty, ilekroć dotąd myślała o niej, w postaci czegoś, po co nachylić się tylko trzeba, aby osiągnąć przedmiot upragniony. Tu, na pierwszej zaraz stacji nieznanej tej drogi, zaczynała domyślać się rzeczy strasznych, niemniej jednak nie drżała, upewniała siebie w myśli, że ją, kobietę młodą i zdrową, starannie kiedyś wychowywaną przez najlepszych rodziców, ją, towarzyszkę człowieka rozsądnego i umysłową pracą zarabiającego sobie na życie, spotkać nie może los podobny temu, jaki spotkał tę biedną, smutną dziewczynę, którą spotkała na wschodach, i tę stokroć nieszczęśliwszą jeszcze staruszkę, która odeszła przed chwilą z dwoma strumieniami łez opływającymi zmarszczone policzki.

Ludwika Żmińska zaczęła od pytania, od którego zwyczajnie

znać zaczynała rozmowy ze zjawiającymi się kandydatkami na nauczycielskie posady:

– Pani trudniłaś się już nauczycielstwem?

– Nie, pani; jestem wdową po urzędniku zmarłym przed kilku dniami. Teraz dopiero po raz pierwszy pragnę rozpocząć zawód nauczycielki.

– A! Więc posiadasz pani może świadectwo ukończenia którego z wyższych naukowych zakładów?

– Nie, pani; wychowałam się w domu.

Słowa te dwie kobiety zamieniały ze sobą po francusku. Marta wyrażała się w języku tym poprawnie i z łatwością, wymowa jej nie była jak najdoskonalsza, ale nie raziła żadnymi osobliwymi uchybieniami.

– Jakichże przedmiotów pani możesz i życzysz sobie udzielać?

Marta nie zaraz odpowiedziała. Rzecz dziwna, przyszła tu z zamiarem wyjednania dla siebie miejsca nauczycielki, ale nie wiedziała dobrze, czego właściwie nauczać mogła i chciała. Nie była przyzwyczajona do rachowania się z posiadanymi zasobami umysłu, wiedziała tylko o tym, że to, co umiała, było zupełnie wystarczającym dla kobiety zostającej w tych położeniach, w jakich ona zostawała, dla córki szlacheckiej, dla żony urzędnika. Nie czas jednak był namyślać się długo; pamięci Marty nasunęły się naturalnie te przedmioty, nad którymi w dzieciństwie pracowała najwięcej, które stanowiły tło ukształcenia jej i jej rówieśnic.

– Mogłabym dawać lekcje muzyki i francuskiego języka – rzekła.

– Co do drugiego – odparła gospodyni domu – uważam, iż pani posiadasz wymowę francuską dość biegłą i poprawną, a chociaż nie jest ona jeszcze wszystkim, czego potrzeba dla możliwości nauczania, to jednak pewna jestem, iż pani i gramatyka, i pisownia, i może nieco piśmiennictwo francuskie obcymi nie są... Co do muzyki... racz pani przebaczyć... ale muszę znać stopień artystycznego jej wykształcenia, ażeby znaleźć sposób odpowiedniego dlań zużytkowania.

Na blade policzki Marty wystąpiły rumieńce. Wychowała się w domu, nie zdawała nigdy egzaminów żadnych przed nikim, nie produkowała się nawet przed światem, bo w kilka miesięcy po ślubie, zamknąwszy kupiony jej przez męża fortepian, otwierała go zaledwie parę razy, i to wtedy zawsze, kiedy gry jej słuchały tylko cztery ściany ładnego jej saloniku i drobniutkie uszki Janci, skaczącej na kolanach piastunki w takt muzyki matczynej. A jednak żądanie właścicielki informacyjnego biura nie miało w sobie nic takiego, co by obrażać powinno, zasadzało się na tym prawie prostym i powszechnie w świecie pracujących przyjętym, że aby powiedzieć coś o cenie i właściwościach przedmiotu, trzeba go naprzód obejrzeć, zważyć i tak dopasować, kędy on okaże się potrzebnym i stosownym. Rozumiała to Marta, podniosła się z fotela i zdjawszy rękawiczki przystąpiła do fortepianu. Tu stała chwilę z oczami spuszczonymi na klawiaturę. Przypominała sobie panieński swój repertuar

muzyczny i wahała się pomiędzy kompozycjami, które darzyły ją niegdyś pochwałą nauczycielki i uściskami rodziców. Usiadła i rozmawiała jeszcze wciąż ze swoją pamięcią, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem, a od progu ozwał się głos kobiecy, ostry i przenikający:

– *Eh bien! Mame! La comtesse arrive-t-elle à Varsovie*<sup>30</sup>?

Ze słowami tymi wpadła raczej, niż weszła do pokoju kobieta żwawa, przystojna, ciemnej płci, średniego wzrostu, w oryginalnym płaszczyku z pąsowym kapiszonem, jaskrawo odbijającym przy głębokiej czarności włosów i śniadości cery. Czarne połyskliwe oczy przybyłej obieły szybko pokój i spotkały się z postacią kobiety siedzącej przy fortepianie.

– *Ah, vous avez du monde, madame!* – zawołała. – *Continuez, continuez, je puis attendre*<sup>31</sup>!

Mówiąc to rzuciła się w fotel, oparła głowę o tylną poręcz, skrzyżowała nogi, przez co ukazała bardzo zgrabne stopy, obute w ładne buciki, i zakładając ręce na piersi, ciekawy, przenikliwy wzrok utkwiała w twarzy Marty.

Na policzkach młodej wdowy wzmożyły się rumieńce, nowy świadek popisowej gry jej nie ujmował przykrości jej położenia. Ale Ludwika Żmińska zwróciła ku niej głowę z tym szczególnym zajęciem i wyrazem twarzy, które zdają się mówić: „Czekamy!”

---

<sup>30</sup> *Eh bien! Mame! La comtesse arrive-t-elle à Varsovie* (fr.) – I cóż, pani, czy hrabina przyjechała do Warszawy? [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *Ah, vous avez du monde, madame! (...) continuez, continuez, je puis attendre* (fr.) – ależ u pani tłum, proszę kontynuować, ja zaczekam. [przypis edytorski]

Marta zaczęła grać. Grała *la Prière d'une Vierge*. W porze, w której uczyła się muzyki, młode panny grywały powszechnie *la Prière d'une Vierge*, tę tkliwą kompozycję, której tony w całość pełną melancholii zlewały się z wnioskującymi przez okna księżycowymi promieniami i ulatującymi z piersi dziewiczymi westchnieniami. Ale salonik informacyjnego biura oświetlony był jasnym, trzeźwym blaskiem dziennym, westchnienia kobiety grającej *la Prière d'une Vierge* nie były takimi westchnieniami, które lecą „w nadziemskie krainy” lub na ów łąn zielony, kędy pędzi „konik wrony”, ale takimi, które tłumione, spychane na dno piersi wciąż się jednak podnoszą, wlewając w ucho kobiety-matki prosty, ziemski, pospolity, trywialny, a jednak tragiczny, groźny, natarczywy, rozdzierający wykrzyk:

„Chleba! Zarobku!”

Wąskie brwi Ludwiki Żmińskiej zsunęły się bardzo nieznacznie, przez co jednak fizjonomia jej stała się więcej jeszcze chłodna i surowa, jak była wprzód; po śniadej twarzy Francuzki rozparte w fotelu mknęły roje figlarnych uśmiechów. Marta czuła sama, że gra źle. Nie rozumiała już dziś tej wiązanki czułych tonów, która niegdyś wydawała się jej melodią anielską; palce jej utraciły wprawę i plątały się po klawiszach, nie zawsze na właściwe trafiając, myliła się w pasażach, cisnęła zbyt mocno pedały, opuszczała całe takty, zatrzymywała się i szukała po klawiaturze drogi, którą gubiła.

– *Mais c'est une petite horreur qu'elle joue là*<sup>32</sup> – zawołała

---

<sup>32</sup> *Mais c'est une petite horreur qu'elle joue là* (fr.) – Ależ to coś strasznego, co ona

Francuzka półgłosem wprawdzie, ale wykrzyk jej usłyszała i Marta.

– *Chut! Mademoiselle Delphine!*<sup>33</sup> – szepnęła gospodyni domu.

Marta uderzyła ostatni akord tkliwej kompozycji i zaraz, nie podnosząc oczu ni rąk znad klawiszów, zaczęła grać *Nocturne* Zientarskiego. Czuła, jak niepomysłne dla niej wrażenie gra jej wywarła na kobietę trzymającą w swoim ręku najdroższe jej nadzieje; czuła, że niezręcznie dotykając klawiszów, wypuszcza zarazem z dłoni jedno z nielicznych narzędzi zarobku, na jakie liczyła, że każdy fałszywy ton, spod palców jej wychodzący, rwie i przecina jedną z nielicznych nici, na których zawisł byt jej i jej dziecka.

„Muszę zagrać lepiej!” – powiedziała sobie w myśli i bez chwili namysłu zaczęła grać smętny *Nocturne*. A jednak nie grała lepiej niż wprzód, grała nawet gorzej, kompozycja była trudniejsza, w rękach odzwyczajonych od gry uczuwać zaczęła ból i zeszywnienie.

– *Elle touche faux, mame! He, he! Comme elle touche faux!*<sup>34</sup> – zawołała znowu Francuzka, strzelając śmiejącymi się oczami i zgrabne stopy opierając na pobliskim fotelu.

– *Chut, je vous en prie, mademoiselle Delphine!*<sup>35</sup> – powtórzyła

---

gra. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *Chut! Mademoiselle Delphine!* – Sza, panno Delfino. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *Elle touche faux, mame! He, he! Comme elle touche faux!* – ona fałszuje, ha, ha, jak ona fałszuje (myli klawisze, dźwięki). [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *Chut, je vous en prie, mademoiselle Delphine!* – Sza, proszę panią, panno Delfino. [przypis edytorski]

gospodyni domu z lekkim niezadowoleniem wzruszając ramionami.

Marta wstała od fortepianu. Rumieńce jej, lekkie wprzód, przemieniły się teraz w purpurowe plamy, oczy błyszczały połyskiem silnego wzruszenia. Stało się! Z dłoni jej wypadło jedno z narzędzi, na jakie rachowała, jedna z nici mogących prowadzić ją ku zarobkowi urwała się stanowczo. Wiedziała już teraz, że lekcji muzyki otrzymać nie może; nie spuściła oczu i pewnym krokiem przystąpiła do stołu, przy którym siedziały dwie obecne w pokoju kobiety.

– Nie miałam nigdy talentu do muzyki – zaczęła głosem dość cichym, ale nie stłumionym i nie drżącym – uczyłam się jej przecież przez lat dziewięć, ale do czego się nie ma zdolności, to zapomina się łatwo. Przy tym przez pięć lat po zamążpójściu nie grywałam wcale.

Mówiła to z lekkim uśmiechem. Utkwione w nią spojrzenia bystrych oczu Francuzki ciążyły jej dotkliwie, lękała się ujrzeć w nich litość lub szyderstwo. Ale Francuzka nie zrozumiałwszy słów Marty, wymówionych po polsku, ziewnęła szeroko i głośno.

– *Éh bien! Mame!*<sup>36</sup> – zwróciła się do gospodyni domu. – Skończ pani ze mną; mam do powiedzenia kilka słów tylko. Kiedy hrabina przyjedzie?

– Za dni kilka.

– Pisałaś pani do niej o warunkach, jakie położyłam?

– Tak, i pani hrabina przyjęła je.

---

<sup>36</sup> *Eh bien! Mame!* – A więc, pani. [przypis edytorski]

– Więc moje czterysta rubli są pewnymi?

– Najzupełniej.

– I małą siostrzenicę moją będę mogła mieć przy sobie?

– Tak.

– I będę miała osobny pokój, osobną sługę, konie do przejażdżki, kiedy zechcę, i dwa miesiące wakacji?

– Na wszystkie warunki te zgodziła się pani hrabina.

– To dobrze – powstając rzekła Francuzka. – Za kilka dni przyjdę dowiedzieć się znowu o przyjeździe pani hrabiny. Jeżeli jednak za tydzień nie przyjedzie lub nie przyśle po mnie, zerwę umowę. Czekać dłużej nie chcę i nie potrzebuję. Mogę mieć miejsc podobnych dziesięć. *Bon jour, madame*<sup>37</sup>.

Kiwnęła głową gospodyni domu, Marcie i odeszła.

U progu nasunęła na głowę pąsowy kapiszon i otwierając drzwi zanuciła fałszywie francuską piosenkę. Marta po raz pierwszy w życiu uczuła coś na kształt zazdrości. Słuchając rozmowy francuskiej guwernantki z właścicielką biura myślała:

„Czterysta rubli i pozwolenie zatrzymania przy sobie małej siostrzenicy, osobny pokój, sługa, konie, długie wakacje! Boże mój! Ileż to warunków, jakże szczęśliwa, świetna jest pozycja tej kobiety, która jednak nie wydaje się ani bardzo ukształcona, ani wielce pociągająca! Gdyby mi przyrzeczono czterysta rubli rocznie i pozwolono mieć Jancię przy sobie...”.

– Pani! – ozwała się głośno. – Rada byłabym otrzymać stałą jaką posadę.

---

<sup>37</sup> *bon jour, madame* (fr.) – dzień dobry pani. [przypis edytorski]

Żmińska namyślała się chwilę.

– Nie jest to zupełnie niepodobne, ale nie jest także i łatwe, a do tego wątpię, aby dla pani było korzystne. Spodziewam się, iż pani uznasz, że w stosunkach z osobami udającymi się do mnie otwartość jest moim obowiązkiem. Z francuszczyzną pani niezłą, ale niezupełnie paryską, z małym, żadnym prawie ukształceniem muzycznym mogłabyś pani zostać nauczycielką tylko na początki.

– Co znaczy? – z bijącym sercem zapytała Marta.

– Co znaczy, że otrzymywałabyś pani 600, 800, najwyżej 1000 złotych rocznie.

Marta nie namyślała się ani chwili.

– Zgodziłabym się na tę zapłatę – rzekła – gdyby przyjęto mię wraz z małą moją córeczką.

Oczy Ludwiki Żmińskiej, wyrażające przed chwilą nadzieję budzący namysł, ochłodziły.

– A! – wymówiła. – Pani nie jesteś więc sama, masz dziecko...

– Czteroletnią dziewczynkę, łagodną, spokojną, która nikomu nie wyrządziłaby nigdy przykrości żadnej...

– Wierzę – rzekła Żmińska – a jednak nie mogę udzielić pani najmniejszej nadziei otrzymania miejsca wraz z dzieckiem.

Marta patrzyła na mówiącą ze zdziwieniem.

– Pani – wymówiła po chwili – osobę, która tylko co stąd odeszła, przyjęto przecież wraz z małą jej krewną... i tylu... tylu innymi warunkami. Czy jest ona tak wysoce wykształcona?

– Nie – odpowiedziała Żmińska – wykształcenie jej nie przechodzi granic mierności; ale jest ona cudzoziemką.

Po ustach surowej właścicielki biura po raz pierwszy w ciągu rozmowy przewinął się uśmiech, a zimne jej oczy spojrzały w twarz Marty z wyrazem, który zdawał się mówić: „Jak to! Nie wiedziałaś więc o tym? Skądże przybywasz?”

Marta przybywała z rodzinnej wioski, kędy róże kwitły i słowiki śpiewały, z ładnego mieszkania przy ulicy Granicznej położonego, kędy były cztery ściany ustrojone, ogrzane, dokoła świat przed oczami jej zasłaniające; przybyła ona z krainy, w której panują naprzód naiwność i nieświadomość dziewczicy, potem wesołość i nieświadomość młodej mężatki, przybywała ona z tego kręgu żywiołów ludzkich, w którym niewiasta spuszcza oczy, a więc nic nie widzi, nie zapytuje o nic, a więc o niczym nie wie... Nie wiedziała lub mimochodem, przelotnie zaledwie zasłyszana była coś o tym, że co wolno Jowiszowi, tego nie wolno wołowi. Oczy Ludwiki Żmińskiej zimne, ale rozumne, z błędzącą w źrenicach ironią w tej chwili na nią spoglądające mówiły jej: „Tamta kobieta w pąsowym kapiszonie, ostro mówiąca, głośno wykrzykująca, stopy na krzesło zakładająca, jest Jowiszem, ty, biedna istota, trywialnie urodzona na tej samej ziemi, na której rodzą się wszystkie matki wszystkich naszych dzieci, jesteś wołem”.

– Gdybyś się pani rozstać mogła ze swą córeczką, gdybyś umieściła ją gdziekolwiek, bardzo być może, iż znalazłabyś dla siebie miejsce z tysiącem złotych rocznie.

– Nigdy! – splatając ręce zawołała Marta. – Nigdy nie rozstanę się z moim dzieckiem, nie oddam go w ręce obce... Jest ono wszystkim, co pozostało mi na ziemi...

Wykrzyk ten przemocą wydarł się z piersi matki, ale Marta pojęła szybko niestosowność jego i bezużyteczność. Uczyniła nad sobą wysilenie i spokojnie mówić zaczęła:

– Skoro więc nie mogę mieć nadziei otrzymania posady stałej, racz pani dostarczyć mi lekcji prywatnych...

– Lekcji francuskiego języka? – wtrąciła gospodyni domu.

– Tak, pani, i innych przedmiotów także, jak na przykład jeografii, historii powszechnej, historii literatury polskiej... Uczyłam się kiedyś tego wszystkiego, potem czytywałam, niezbyt wiele wprawdzie, zawsze jednak trochę czytywałam. Pracując nad sobą dopełniałabym moich wiadomości...

– Na nic by się to pani nie przydało – przerwała Żmińska.

– Jak to, pani?

– Tak, bo ani ja, ani żadna z właścicielek biur informacyjnych nie mogłybyśmy sumiennie przyrzekać pani lekcji wspomnianych przez panią nauk...

Marta szeroko otwartymi oczami spoglądała na mówiącą kobietę; ta po krótkiej chwili przestanku dodała:

– Ponieważ zajmują się nimi wyłącznie prawie mężczyźni.

– Mężczyźni – wyjąkała Marta. – Dlaczego wyłącznie mężczyźni?

Żmińska podniosła na młodą kobietę oczy, które mówiły znowu:

„Skądże przybywasz?”

Głośno zaś rzekła:

– Dlatego zapewne, że mężczyźni są mężczyznami.

Marta przybywała z krainy błogiej nieświadomości niewieściej, zamyśliła się więc przez chwilę nad wyrazami właścicielki biura. Po raz pierwszy w życiu zawikłania i zagadnienia społeczne jawiły się przed jej oczami, mętne, niewyraźnie; splątane ich zarysy, wywierając na nią bezwiedne, dolegliwe wrażenie, nie nauczały jej przecież niczego.

– Pani – odezwała się po chwili – zdaje mi się, iż zrozumiałam, dlaczego mężczyźni więcej pożądanymi są, gdy idzie o nauczanie; posiadają oni wykształcenie wyższe, gruntowniejsze niż kobiety... Tak, ale wzgląd ten może mieć miejsce tam tylko, gdzie nauczanie przybiera szerokie już rozmiary, gdzie wiedza nauczyciela powinna być tak obszerna i gruntowna, aby odpowiedzieć mogła potrzebom dojrzewającego już umysłu ucznia. Ale ja, pani, nie roszczę tak wysokich pretensji. Chciałabym nauczać początków historii, geografii, historii piśmiennictwa naszego...

– Początków tych nauczają zazwyczaj także mężczyźni... – przerwała Żmińska.

– Wtedy zapewne, kiedy idzie o dawanie lekcji chłopcom – wtrąciła Marta.

– I dziewczętom także – dokończyła właścicielka informacyjnego biura.

Marta zamyśliła się znowu.

– A więc – rzekła po chwili – coś w dziedzinie nauczycielstwa pozostaje kobietom?...

– Języki, talenta...

Oczy Marty zaświeciły nadzieją. Ostatni wyraz Żmińskiej przypomniał jej jedno jeszcze narzędzie zdobywcze, o którym dotąd nie myślała.

– Talenta – wymówiła z pośpiechem – a więc nie tylko przecież muzyka... Ja uczyłam się rysować... chwalono nawet kiedyś moje rysunki.

Na twarzy Żmińskiej osiadł znowu wyraz obiecującego namysłu.

– Zapewne – rzekła – umiejętność rysunku może się pani na coś przydać, daleko mniej jednak, niżby się przydała biegłość w muzyce...

– Dlaczego, pani?

– Dlatego zapewne, że rysunek jest cichy, a muzyka głośna... W każdym razie – dodała Żmińska – przynieś mi pani próby swego rysunku. Jeżeli jesteś w nim pani bardzo biegła, jeżeli potrafisz wyrysować coś, co by oznajmiało talent wielki i wysoko ukształcony, będę mogła znaleźć dla pani jedną lub dwie lekcje...

– Bardzo biegłą w rysunku nie jestem – odparła Marta. – Nie zdaje mi się też, aby talent mój do rysowania był wielkim, ukształcenie zaś, jakie w nim posiadałam, nie może wcale nazwać się wysokim. Znam przecież rysunek o tyle, abym początkowych prawideł jego nauczać mogła.

– W takim razie nie przyrzekam pani początkowych lekcji rysunku – spokojnie, krzyżując ręce na piersi rzekła Żmińska.

Ale dłonie Marty splatały się coraz silniej pod wpływem coraz przykrzejszego uczucia.

– Dlaczego, pani? – szepnęła młoda kobieta.

– Dlatego, że udzielają ich mężczyźni – odrzekła właścicielka biura.

Marta pochyliła głowę na piersi i tym razem przesiedziała ze dwie minuty w głębokim pogrążona zamyśleniu.

– Przebaczone pani – wymówiła po chwili, podnosząc twarz, na której malował się wyraz dręczącego niepokoju – przebaczone pani, że tak długo zajmuję ją naszą rozmową. Jestem kobietą niedoświadczoną, za mało może dotąd zwracałam uwagi na stosunki ludzkie i na porządek spraw, które nie tyczyły się mnie osobiście. Nie rozumiem wszystkiego, o czym mi pani powiadasz, rozsądek mój, a zdawało mi się, że go mam, sprzeczka się z tymi licznymi niemożnościami, jakie mi pani wskazujesz, bo nie dostrzegam, jakie mogłyby być ich przyczyny. Otrzymanie pracy, jak największej ilości pracy, jest dla mnie więcej niż kwestią życia i śmierci, bo kwestią życia, a potem i wychowania mego dziecka... Myśli moje wikłają się... pragnęłabym słusznie sądzić o rzeczach, zrozumieć... ale... nie mogę... nie rozumiem...

Gdy Marta mówiła te słowa, właścicielka biura patrzyła na nią zrazu obojętnie, potem bacznie i ze skupioną uwagą, potem jeszcze chłodne oczy jej rozgrzały się cieplejszym światłem.

Spuściła szybko wzrok i chwilę milczała, po surowym czole jej przesunęło się parę ruchomych zmarszczek, smutny uśmiech owinął na chwilę obojętne zwykle usta. Urzędowa powłoka, którą okrywała się właścicielka informacyjnego biura, nie opadła z niej całkiem, ale stała się przezroczysta; można było teraz dostrzec z niej kobietę, która przypomniała sobie niejedną kartę z własnego życia, niejeden obraz z życia innych kobiet. Podniosła z wolna głowę i spotkała spojrzeniem utkwione w nią, głębokie w tej chwili, błyszczące i niespokojne oczy Marty.

– Nie pani pierwsza – zaczęła głosem mniej suchym, niż dotąd mówiła – nie pani pierwsza przemawiasz do mnie w ten sposób. Od lat ośmiu, to jest od czasu, w którym stanęłam na czele zakładu tego, przychodzą tu wciąż kobiety różnych wieków, stanów, uzdolnień, rozmawiają ze mną i mówią: „Nie rozumiemy!”. Ja rozumiem to, czego one nie rozumieją, gdyż wiele widziałam i niemniej doświadczyłam sama. Tłumaczenia jednak rzeczy dla niedoświadczonych, ciemnych i niezrozumiałych nie podejmuję się, wytłumaczają je każdemu dostatecznie walki niezbędne, zawody nieuniknione, fakty jasne jak dzień i zarazem ponure jak noc.

Gorzka jakaś ironia przebrzmiewała w głosie niemłodej kobiety o surowych rysach, gdy wymawiała te wyrazy. Oczy jej spoczywały wciąż na bladej już teraz twarzy Marty. Było w ich głębi nieco tego współczucia, z jakim człowiek dojrzały, znający dobrze ciemne strony życia, spogląda na naiwne dziecię, które całe je ma jeszcze przed sobą. Marta milczała.

Powiedziała przed chwilą prawdę: myśli wikłały się w jej głowie, nie mogąc żadnym wyrazem objąć tego, co przedstawiło się nagle jej wyobraźni, obieгло jej rozwałę. Jedną tylko rzecz spostrzegła jasno i wyraźnie: spostrzegła, że praca nie jest wcale przedmiotem takim, po który człowiek, po który mianowicie kobieta schylić by się tylko potrzebowała, aby go posiąść. I jeszcze jedną rzecz widziała jasno i wyraźnie: białą twarzyczkę Janci i wielkie, czarne oczy dziecięcia, których wzrok bódł serce jej jak nieustanne, natarczywe przypomnienie jakiejś wielkiej, gwałtownej, nieodegnanej potrzeby...

– Daremnie pani łamiesz się z myślami swymi – ciągnęła po chwili Ludwika Żmińska. – Nic one ci nie powiedzą, bo nie żyłaś dotąd wśród świata rzeczywistego, miałaś swój świat marzeń panieńskich naprzód, uczuć rodzinnych potem, co było poza tym, to cię nie obchodziło. Nie znasz świata, choć przeżyłaś na nim lat dwadzieścia kilka, tak jak nie umiesz grać, choć uczyłaś się muzyki lat dziewięć. Otóż fakty, które ze wszech stron panią otoczą i własnym życiem twym rządzić będą, nauczą cię świata, ludzi, społeczeństwa. Co do mnie, to tylko powiedzieć chcę, mogę i powinnam. W społeczeństwie naszym, pani, taka tylko kobieta zdobyć sobie może zarobek dla życia dostateczny i los swój od wielkich cierpień i nędz ochronić, która posiada wysokie udoskonalenie w jakiejkolwiek umiejętności lub prawdziwy jaki i energiczny talent. Wszelkie początkowe wiadomości i mierne uzdolnienia nie zdobywają nic wcale albo, co najwięcej, zdobywają suchy i twardy kęs chleba, rozmoczony

chyba w łzach i okraszony – upokorzeniami. Środka tu nie ma, kobieta musi w jakimkolwiek dziale pracy być doskonała, doskonałością tą wyrobić sobie imię, rozgłos, a więc wziętość. Jednym, dwoma stopniami stojąc niżej w umiejętności, talencie, wszystko ma przeciwko sobie – za sobą nie ma nic.

Marta słów tych słuchała z chciwością, ale im dłużej słuchała, tym więcej stawało się widocznym, że i do jej głowy takie napływają myśli, na usta tłoczą się wyrazy.

– Pani! – wymówiła. – Czyliż wszyscy mężczyźni także muszą osiąść doskonałość jakąś, aby zdobyć sobie byt wolny od wielkich cierpień i nędzy?

Żmińska zaśmiała się z cicha.

– Sąż<sup>38</sup> – rzekła – doskonałymi w jakiejkolwiek umiejętności kanceliści kopiujący po biurach cudze pisma, sklepowi i subiekci, metrowie uczący początków jeografii, historii, rysunków itd.?

– A więc – zawołała Marta z niezwykłym sobie uniesieniem – a więc przebacz pani, że raz jeszcze powtórzę: dlaczego, dlaczego pole pracy, otwarte dla jednych od początku do końca, mierzy się innym na piędzie i cale? Dlaczego brat mój, gdybym go miała, mógłby udzielać lekcji rysunku, tyleż co ja mając talentu i uzdolnienia, a ja nie mogę? Dlaczego mógłby kopiować po biurach cudze pisma, a ja nie mogę? Dlaczego jemu pozwolonym by było zużytkować dla siebie i swoich wszystko, wszystko, cokolwiek by posiadał w zasobach swego umysłu, a

---

<sup>38</sup> sąż – konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż; znaczenie: czy są, czyż są.  
[przypis edytorski]

ja nic więcej zużytkować nie mogę jak grę na fortepianie, do której nie mam zdolności, i znajomość obcych języków, którą posiadam w niskim stopniu?

Marta mówiła to ustami drżącymi, oczy i policzki jej zapalały. Nie była świetną damą, na aksamitnej sofie salonu snującą dowcipną gawędkę o równouprawnieniu kobiet, ani teoretykiem w czterech ścianach gabinetu, ważącym i mierzącym mózg męski i kobiecy w celu wynalezienia pomiędzy nimi podobieństw i różnic. Pytania, cisnące się na jej usta, były pytaniami, które targały serce matki, rozpalały głowę kobiety ubogiej, wysuwały się przed nią jak puklerz zasłaniający od – śmierci głodowej!

Żmińska wzruszyła lekko ramionami i rzekła z wolna:

– Powtórzyłaś pani wiele razy: dlaczego? Nie formułując kategorycznie odpowiedzi, powiem pani, iż dlatego zapewne najbardziej i przede wszystkim, że mężczyźni są głowami domów, ojcami rodzin.

Marta patrzyła w mówiącą kobietę jak w tęczę.

Silne połyski oczu jej, wywołane przed chwilą ciekawością myśli i gwałtem uczuć, kryły się za dwoma łzami, które wypłynęły spod powiek i oszklify źrenice. Ręce jej splotły się jakby mimo woli.

– Pani – wymówiła – i ja także jestem matką.

Ludwika Żmińska powstała. W przedpokoju ozwał się dzwonek zwiastujący przybycie nowej jakiejś osoby, właścicielka biura zmierzała do ukończenia rozmowy z młodą wdową.

– Uczynię wszystko, co będę mogła, aby wynaleźć dla pani

odpowiednie zajęcie; nie spodziewaj się pani jednak otrzymać je prędko. W ogóle w dziedzinie nauczycielstwa ofiara pracy przewyższa o wiele jej żądanie. Nauczycielki z bardzo wysokim językowym i artystycznym uzdolnieniem byłyby pożądanymi i otrzymują świetne stosunkowo posady, takich jest przecież najmniej, za mało nawet w stosunkach do potrzeby; co do początkowego zaś nauczania, zajmuje się nim lub zajmować pragnie takie mnóstwo kobiet, że nadmierna ta konkurencja nie tylko sprowadza do niesłychanie niskiej ceny pracy, ale utrudnia, dla większości uniemożliwia zdobycie tej ostatniej! Powtarzam jednak, że uczynię wszystko, co będę mogła, aby znaleźć dla pani lekcje. Idzie tu zresztą tak dobrze o interes pani, jak o mój własny. Za dni kilka, za tydzień, chciej pani przyjść tu znowu, a może znajdziesz już jaką wiadomość.

Mówiąc te słowa, właścicielka biura od stóp do głowy okryta już była urzędowym chłodem i sztywnością, w pokoju bowiem ukazała się nowa postać kobieca.

Marta odeszła. Zstępowała ze wschodów powoli. Nie płakała tak jak owa młoda dziewczyna, która przed godziną tę samą przebywała drogę, ale była głęboko zamyślona. Wyszedłszy dopiero na ulicę oderwała wzrok od ziemi i przyspieszyła kroku. Miała jeszcze dnia tego wiele do uczynienia.

W kamienicy sąsiadującej z tą, w której było jej mieszkanie, znajdowała się garkuchnia. Marta weszła do zakładu tego i prosiła o przynoszenie jej obiadów. Przez wzgląd na bliskość miejsca i z warunkiem małej dopłaty zgodzono się przysyłać

jej obiady na poddasze przez małego posługacza. Żądano tylko opłaty z góry, która wynosić miała dziesięć złotych tygodniowo, sumę wielką dla Marty, której majątek cały wynosił niespełna złotych dwieście.

Otwierając pugilaresik, który majątek ten mieścił w sobie, Marta uczuła pewien nieokreślony, ale dolegliwy niepokój. Uczucie to zwiększyło się w niej jeszcze, gdy wstąpiwszy do mieszkania rządcy domu, wręczyła mu dwadzieścia pięć złotych miesięcznej opłaty za wynajmowanie izdebki i znajdujących się w niej sprzętów. Wprzód jeszcze kupiła w sklepiku z wiktuałami trochę cukru, herbaty, kilka bułek, małą lampkę i trochę nafty. Wszystko to razem o czwartą część zmniejszyło jej majątek.

Jancia, zamknięta przez cały ranek w izdebce, wydała okrzyk radości, usłyszawszy klucz obracający się w zamku. Rzuciła się na szyję wchodzącej matki i twarz jej okryła pocałunkami.

Wrażenie chwili jest jedyną mocą silnie działającą na organizację dziecięcą. Przyszłość nie istnieje dla ich myśli, przeszłość zaciera się szybko w ich pamięci. Dzień wczorajszy jest już dla dziecka odległą przeszłością, to, co było, działo się lub stało przed kilku dniami, znika i rozlewa się przed ich oczami w mgle zapomnienia. Jancia była wesółą.

Wąski promień słońca, wnikający do izby na poddaszu przez małe okienko, radował ją, kominek z okopconą głębią zastanawiał i zaciekawiał, zawierała znajomość z nowymi sprzętami, śmiała się z dwóch krzeseł, u których jedna

noga krótsza była od trzech innych, i porównywała je do kalek staruszków, widywanych przez nią na ulicach miasta. Samotność, wśród jakiej przepędziła cały ranek, utworzyła w główce jej zapasik myśli, które języczek spragniony mówienia z pośpiesznym i głośnym szczebiotem wypowiadał przed matką.

Po raz pierwszy wesołość dziecięcia ciężkie wrażenie wywarła na umyśle Marty. Wczoraj, gdy Jancia lepiej jeszcze pamiętała o znikłej sprzed oczu jej postaci ojca, kiedy zasmucona utratą ścian, wśród których żyła dotąd, i wszystkich pięknych rzeczy, do których widoku nawykła, z płaczem odmawiała pożywienia, wielkie czarne swe oczy podnosiła na twarz matki z wyrazem bolesnego błagania i bezświadomego przerażenia, Marta oddałaby wszystko, co pozostało jej jeszcze, aby wywołać uśmiech na drobne jej usteczka, rumieniec zdrowia na pobladłe policzki. Dziś srebrny śmiech dziecka napełniał ją nieokreśloną, ale ciężką trwogą. Cóż więc zmieniło się w jej położeniu? Była samotna jak wczoraj, ubogą jak wczoraj, ale pomiędzy wczoraj i dziś stał ów ranek probierczy, w którym po raz pierwszy, wszedłszy w świat nieznany, ściślej niż kiedykolwiek porachowała się sama z sobą. Wczoraj była pewna, że nim doba upłynie, będzie już posiadała w ręku możliwość pracowania i obrachowania się ze spodziewanym zarobkiem, mającym pewne określone zarysy nadać jej przyszłości. Doba upłynęła, a przyszłość pozostała nieokreślona. Kazano jej czekać, nie oznaczając nawet czasu oczekiwania, czekać na coś, co w każdym razie będzie musiało być bardzo drobnym.

„Jakże byłam niedoświadczona myśląc, iż oczekiwać nie będę potrzebowała, jakże byłam nierozumna, spodziewając się od siebie samej rzeczy wielkich!”

Tak myślała Marta stojąc wieczorem u okna, za którym wisiało czarne niebo jesienne i wielkie miasto gwarzyło nieustannie.

„Co za natłok! Wszystkie stany, wieki, narodowości cisną się tam, kędy ja iść zamierzyłam! Czy utoruję sobie drogę wśród tego tłumu i czym utoruję, skoro tak małe posiadam narzędzia do walki! A jeśli nie wpuszczą mię wcale na drogę tę, jeżeli upłynie tydzień, dwa, miesiąc, a ja nie znajdę zarobku?”

Na myśl tę zimny dreszcz przebiegł po ciele Marty. Odwróciła głowę szybko i ogarnęła uśpioną główkę Janci takim wzrokiem, jakby się o nią nagle przełękła, jakby nagle ujrzała wiszące nad nią groźne jakieś niebezpieczeństwo.

\*

Brzydki to był szary, dżdżysty, błotnisty dzień listopadowy, w którym Marta bardzo pośpiesznym krokiem dążyła z ulicy Długiej na Piwną, z biura informacyjnego do domu. Obłoki płakały, ale twarz młodej kobiety jaśniała. Ludzie osłaniali się przed deszczem parasolami, przed chłodem płaszczami, ale ona nie osłaniając się niczym, obojętna na dokuczliwość natury, tak jak obojętna byłaby zapewne w tej chwili na jej pieszczoty, biegła lekko po zbłoconych chodnikach, z głową podniesioną, ze

wzrokiem błyszczącym.

Nigdy jeszcze, odkąd na wysokim zamieszkała poddaszu, przebycie wąskich, brudnych, ciemnych, trzypiętrowych wschodów nie przyszło jej z taką łatwością; uśmiechała się wydostając z kieszeni klucz ciężki i zardzewiały, z uśmiechem przestąpiła, przeskoczyła niemal próg izby, przyklękła, otworzyła ramiona i milcząc przycisnęła mocno do piersi czarnookie dziecko, które z krzykiem radości rzuciło się na jej spotkanie. Przyłgnęła ustami do czoła dziewczynki.

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu, Janciu! – szepnęła, chciała coś więcej powiedzieć, nie mogła; dwie łzy spłynęły na uśmiechnione<sup>39</sup> jej usta.

– Czego ty, mamó, śmiesz się? Czego ty płaczesz? – zaszczebotała Jancia, drobnymi rączkami muskając rozpalone policzki matki.

Marta nie odpowiedziała; zerwała się z ziemi i spojrzała w czarną głębię komina. Teraz dopiero uczuła, że była zmoknięta, że w izbie było zimno.

– Możemy dziś sobie ogień rozpalić na kominku – rzekła, biorąc zza pieca jedyną znajdującą się tam wiązkę drzewa.

Jancia poskoczyła z radości.

– Ogień! Ogień! – wołała. – Ja lubię ogień, mamó! Tak dawno nie zapalałaś już go na kominku!

Kiedy żółte płomienie strzeliły do góry, gorącym blaskiem napełniły czarną głąb komina i falę przyjemnego ciepła rozlały

---

<sup>39</sup> *uśmiechnione* (daw.) – dziś popr. forma: *uśmiechnięte*. [przypis edytorski]

po izbie, Marta usiadła przed ogniem i wzięła dziecię swe na kolana.

– Janciu! – rzekła pochylając się ku bladej twarzyczce. – Jesteś małą jeszcze dzieciną, ale powinnaś zrozumieć już to, co ci powiem.

Mama twoja była bardzo, bardzo biedna, bardzo smutna. Wydała wszystkie swoje pieniądze i za kilka dni nie miałyby już za co kupić ani obiadu dla ciebie i dla siebie, ani drewek do zapalenia w piecu. Dziś dano mamie twojej robotę, za którą jej zapłacą... Dlatego przychodząc, mówiłam ci, abyś podziękowała Bogu, dlatego rozpałam ten piękny ogień, aby nam było dziś ciepło i wesoło...

Marta otrzymała w istocie robotę. Po miesiącu oczekiwania, po kilkunastu bezowocnych wycieczkach do informacyjnego biura, Ludwika Żmińska oświadczyła młodej kobiecie, iż otrzymała dla niej lekcję francuskiego języka. Zarobek ów, pół rubla codziennie wynosić mający, wydał się Marcie otworzoną przed nią kopalnią bogactw. W tej samej izbie, w której mieszkała teraz, również oszczędnie, oszczędniej może niż dotąd opędzając swe potrzeby, z zasobem tym żyć mogła z dzieckiem. Żyć mogła! Dwa te wyrazy znaczyły wiele dla kobiety, która w przeddzień jeszcze otrzymania pomyślnej tej wiadomości dowiadywała się, gdzie i komu sprzedać można zbywającą część odzieży.

Do tego jeszcze pierwszy błysk pomyślności oświecił perspektywę z lepszą przyszłością u końca.

– Jeżeli – rzekła Żmińska – w domu, do którego cię wprowadzam, zdobędziesz sobie imię nauczycielki sumiennej i umiejętnej, bardzo być może, iż lekcje jej zażądanymi będą przez wiele innych. Wtedy otrzymasz pani prawo nie tylko wyboru, ale wymagania warunków zyskowniejszych nad te, które ci teraz ofiarowanymi zostały.

Były to słowa, którymi Ludwika Żmińska zakończyła rozmowę z młodą wdową. W głowie Marty uwięzły głęboko dwa wyrazy: „sumienna i umiejętna”.

Pierwszy z dwóch tych wyrazów nie budził w niej najlżejszej obawy ni wątpliwości, drugi, nie wiedziała sama, dlaczego odpychała od siebie; pragnęła o nim zapomnieć, niby o czymś, co zmącić jej mogło pierwszą od dawna chwilę uspokojenia.

O oznaczonej godzinie Marta wchodziła do jednego z mieszkań przy ulicy Świętojerskiej położonych. W pięknym, smakownie i dość kosztownie urządzonej saloniku spotkała ją kobieta młoda jeszcze, bardzo ładna, bardzo ładnie ubrana, prawdziwy typ warszawianki, z układem żywym i pełnym wdzięku, z twarzą oświeconą wyrazem bystrego pojęcia, z mową prędką, ożywioną i wytworną. Była to żona jednego z głośniejszych literatów miejscowych, pani Maria Rudzińska. Tuż za nią wbiegła do saloniku dwunastoletnia dziewczynka, śmiejąca się, błyskająca pojętnymi oczami, powiewająca króciutką, ozdobną, według ostatniej mody sporządzoną sukienką i ciągnąca za sobą długi pasowy sznur, z którym przed chwilą odbywała zapewne po wygodnym i obszernym

mieszkaniu swych rodziców gimnastyczne ćwiczenia.

– Panią Martę Świcką zapewne mam przyjemność widzieć – przemówiła gospodyni domu, wyciągając jedną rękę ku przybywającej, drugą wskazując jej jeden z fotelów przy kanapie stojących. – Pani Żmińska mówiła mi wczoraj wiele o pani, szczerze więc cieszę się, że ją poznaję. Przedstawiam pani moją córkę a przyszłą jej uczennicę. Jadwisiu! Ta pani jest tak dobra, że chce dawać ci lekcje francuskiego języka, pamiętaj, abyś nie sprawiała jej najmniejszego zmartwienia i uczyła się tak dobrze jak przy paninie Dupont!

Dziewczynka ze smukłą i giętką kibicią, z fizjonomią pełną swobody i pojętności, bez najmniejszego zmieszania ukłoniła się przyszej nauczycielce swej bardzo zgrabnie.

W tej samej chwili w przedpokoju ozwał się dzwonek; do salonu jednak nikt nie wszedł, tylko po kilkunastu sekundach portiera, całkiem prawie przysłaniająca drzwi sąsiedniego pokoju, poruszyła się i w szczelinie, utworzonej pomiędzy ciężkimi fałdami pąsowej materii, ukazała się para czarnych jak węgiel, ognistych oczu, należących widocznie do twarzy męskiej, bo ponad nią widać też było kawałek śniadego czoła, z gęstą, czarną, krótko przystrzyżoną fryzurą, a poniżej ukazywał się rózek czarnej sterczącej bródki. Wszystko to jednak zaledwie było widocznym wśród gęstych załomów materii, a pozostało zupełnie niewidzialnym dla osób rozmawiających w salonie, profilem do drzwi zwróconych.

Gospodyni domu ciągnęła dalej rozmowę swą z Martą.

– Ostatnia nauczycielka córki mojej, panna Dupont, uczyła bardzo dobrze i Jadzia czyniła przy niej znaczne postępy. Mąż mój przecież sądził i mnie o tym przekonał, że niezupełnie dobrze było z naszej strony dawać sposobność pracowania cudzoziemce wtedy, gdy naokoło nas tyle znajduje się najzacniejszych kobiet miejscowych, tak usilnie poszukujących pracy i z taką trudnością ją znajdujących. Do wszystkich zresztą nauczycieli, którzy kształcą umysł naszej córki, tak ja jak mąż mój zanosimy jedyną prośbę, aby nauczanie było gruntowne, szerokie, wyczerpujące, aby obejmowało wszystkie gałęzie danego przedmiotu, tak iżby dziecko nasze mogło kiedyś władać nim i mieć go w zupełnym swym posiadaniu.

Marta skłoniła się w milczeniu i powstała.

– Jeżeli pani od dziś już rozpocząć raczysz lekcje... – rzekła gospodyni domu, powstając także i uprzejmym gestem wskazując drzwi z portierą, zza której wraz z powstaniem dwóch kobiet zniknęła para oczu, wąsiki i bródka – oto jest gabinet przeznaczony do nauki dla mojej córki.

Gabinet skromniej był urządzony niż salon, panowały w nim przecież dobry smak i wygoda. Pod jedną ze ścian stał duży stół zielonym suknem okryty, pełen książek, zeszytów i przyborów do pisania. Jadzia czuła się tu już u siebie i podnosząc ładne oczy na twarz przyszłej nauczycielki, z poważną minką przybliżyła do stołu wygodny fotel i położyła przed nim kilka książek i sporą ilość grubych zeszytów.

Marta jednak nie zaraz usiadła. Twarz jej, która po

upłynionym<sup>40</sup> świeżo miesiącu oczekiwania chudsza i bledsza była niż przedtem, okryła się w tej chwili wyrazem głębokiego zamyślenia, powieki w dół opadły, ręce, którymi objęła krawędź stołu, drżały nieco. Stała tak parę minut, z nieruchomą twarzą i postawą. Można by rzec, że rozmyślała nad tylko co usłyszanymi słowami matki swej uczennicy albo sama sobie zadawała pytanie jakieś, odpowiedzi na nie szukając w rozumie swym lub sumieniu. Gdy podniosła wzrok, spotkała się oczami z utkwionym w nią spojrzeniem gospodyni domu. Spojrzenie to opłynęło przez chwilę od stóp do głowy smukłą, delikatną, wytwornie piękną postać nowej nauczycielki. Zatrzymało się przydłużej na szerokiej białej taśmie, żałobną pręgą okalającej czarną jej suknię, i spoczywało teraz na bladej, zamyślanej jej twarzy z wyrazem współczucia i trochę ciekawości.

– Pani nosisz żałobę – znizonym, łagodnym głosem wymówiła Maria Rudzińska – po matce może lub po ojcu...

– Po mężu – wyrzekła Marta z cicha, a powieki jej znowu w dół opadły z wolna i ciężko.

– Pani więc jesteś wdową! – zawołała Maria, a w głosie jej brzmiał ten żal, ta trwoga, jakich kobieta szczęśliwa w małżeństwie doświadcza, ilekroć słyszy, że ktoś podobne szczęście utracił, a więc że i jej własne wiekuistym zapewne nie jest. – I może... może pani masz dzieci?

Tym razem Marta podniosła wzrok, w którym żywe zadrgały

---

<sup>40</sup> *upłyniony* (daw.) – ubiegły, miniony, przeszły; ten, który upłynął. [przypis edytorski]

światła.

– Mam córkę, pani! – odrzekła, a jakby wyraz ten uderzył ją nagłym jakimś, nakazującym przypomnieniem, usiadła na podanym jej przed chwilą fotelu i rękami, które jeszcze drżały trochę, zaczęła jedną po drugiej otwierać złożone przed nią książki.

Z książek tych Marta dorozumiewać się mogła, że dwunastoletnia Jadzia wiele już uczyła się i daleko zaszła w nauce; o wysokiej znajomości języka, jaką posiadała przeszła nauczycielka dziewczynki, świadczyło tu i ówdzie rozsypane po zeszytach pismo biegłe, przełamujące z widoczną łatwością największe trudności językowe, wnikające w grunt i subtelne odcienie przedmiotu. Marta powiodła dłonią po oczach, jakby wzrok sobie rozjaśnić lub myśl jakąś natrętną odpędzić od siebie chciała, i zamykając kajety i książki, zadała uczennicy swej kilka pytań. Maria Rudzińska tymczasem odeszła ku oknu i wzięwszy do rąk drobną jakąś robótkę, gotowała się usiąść z nią przy małym stoliczku, gdy portiera rozchyliła się nieco i ozwał się zza niej głos męski i dźwięczny:

– Kuzynko Maryniu! Proszę tu na chwilę!

Maria cicho przebyła pokój, przyjazne spojrzenie raz jeszcze zatrzymała na twarzy nowej nauczycielki swej córki i z cicha zamknęła za sobą drzwi za portierą ukryte, z gabinetu do salonu wiodące.

Na środku salonu stał młody, dwudziestosześcioletni może mężczyzna, szczupły, zgrabny, według ostatniej mody ubrany, ze

śniadą, ściągłą twarzą, kruczymi włosami i jak węgiel czarnymi oczami. Powierzchność człowieka tego miła była, a nawet na pierwszy rzut oka zajmująca. Uderzała w niej przede wszystkim niezmierna pełność życia swobodnego, wesołego, niecierpliwie jakby rwącego się i kapryśnie wybijającego. Pełność ta życia po bliższej uwadze wydawała się nawet jego nadmiarem. Żrenice młodego człowieka pały, migotały, wkoło ust na wpół okrytych czarnym wąsikiem wiły się roje uśmieszków, to przymilających się, to figlarnych, to żartobliwych, cała fizjonomia w jednej sekundzie, w jednym mgnieniu oka, mieniła się wyrazem dowcipu, żartu. Był to widocznie człowiek wiekuistej wesołości, wiekuistego śmiechu, ale zarazem widać było, że był to człowiek wesołego, o nic niedbającego życia. To ostatnie objawiało się w zmęczonej nieco cerze jego twarzy, którą uwydatniały z przeciwieństwem młodość całej postaci, ognisty połysk żrenic, dziecinna niemal pustota uśmieszków.

W chwili gdy Maria Rudzińska wchodziła do salonu, postawa młodego człowieka tego była co najmniej osobliwa. Stał on twarzą zwrócony do zamkniętych przez gospodynię domu drzwi gabinetu, z postacią w tył nieco odgiętą, rękami wzniesionymi w górę, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Teatralnej postawie tej towarzyszył wyraz twarzy, oznaczający również teatralne i wielce komicznie wyglądające zachwycenie.

– Olesiu! – napominającym tonem wymówiła Maria – Cóż to znowu za nedorzecznosc?

– Bogini! – półgłosem, nie zmieniając postawy ni wyrazu

twarzy, wymówił młody człowiek. – Bogini! – powtórzył i wzdychając na sposób bohaterów komedii, opuścił w dół głowę i ręce.

Maria nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wzruszyła jednak ramionami i z robotą w rękę siadając na sofie, rzekła tonem lekkiej wymówki:

– Zapomniałeś przywitać się ze mną, Olesiu!

Na te słowa młody człowiek poskoczył i kilka pocałunków złożył na rękę gospodyni domu.

– Przebacz, Maryniu, przebacz! – mówił tym samym wciąż co pierwszej patetycznym tonem. – Byłem tak zachwycony! Och!

Usiadł na krześle obok młodej kobiety i przycisnąwszy dłoń do serca, podniósł znowu wzrok na sufit. Maria patrzyła na niego tak, jak się patrzy na rozswawolone dziecko.

– Jakież znowu dziwactwo zajęchało ci do głowy? – spytała po chwili, siłąc się widocznie na powagę, lecz nie mogąc w zupełności ukryć uśmiechu. – Czy to w drodze do mego domu spotkałeś tę nową jakąś boginię, która cię w taki zachwyt pogrążyła? Boję się doprawdy bardzo, aby na cały już dzień nie pozbawiła cię ona rozsądku.

– Okrutna jesteś, Maryniu, z tym twoim rozsądkiem – z nowym westchnieniem wymówił młody człowiek. – W twoim to właśnie domu ujrzałem tę piękność...

Przy ostatnim wyrazie z przesadzonym gestem wskazał na drzwi gabinetu. Maria wydawała się na wpół rozśmieszona, na wpół zdziwiona.

– Jak to? – rzekła. – Więc to o nowej nauczycielce Jadzi mówisz?

– Tak, kuzynko – przybierając nagle poważną minę odparł młody człowiek. – Mianuję ją królową wszystkich bogiń moich...

– Ale gdzieś ją widział, wietrzniku?

– Przychodząc do ciebie, dowiedziałem się w przedpokoju, że jesteś zajęta rozmową z nową nauczycielką swojej córki. Nie chciałem ci przeszkadzać i wszedłszy drzwiami od kuchni zajrzałem przez portierę... Żart na stronę jednak – mówił dalej – cóż to za piękna osoba! Jakie oczy! Co za włosy! Wzrost królewski!

– Olesiu! – z lekką niechęcią przerwała gospodyni domu. – Jest to widocznie nieszczęśliwa jakaś kobieta: nosi żałobę po mężu...

– Młoda wdówka! – podnosząc znowu oczy w górę, zawołał młody człowiek. – Nie wiesz może o tym, kuzynko, że nie ma na ziemi miłszych istot jak młode wdówki... naturalnie wtedy, gdy są ładne... twarz blada, oczy sentymentalne... Uwielbiam blade twarze i sentymentalne oczy u kobiet.

– Bredzisz! – wyrzekła Maria, wzruszając ramionami. – Gdybyś nie był moim ciotecznym rodzonym bratem i gdybym nie wiedziała, że pomimo całej twej pustoty jesteś w gruncie dobrym chłopcem, mogłabym znienawidzić cię doprawdy za to dziwne lekceważenie kobiet...

– Lekceważenie! – zawołał młody człowiek. – Ależ, kuzynko,

ja uwielbiam kobiety! Są to boginie serca mego i życia...

– Boginie, które liczysz na tuziny.

– Im więcej człowiek ma przedmiotów miłości, kuzynko, tym więcej kocha... Są to egzercycje, a tylko przez egzercycje<sup>41</sup> serce nabiera tej siły, tego ognia, który...

– Dosyć już tego, Olesiu – z żywą już i widoczną niechęcią przerwała gospodyni domu. – Wiesz dobrze, jak martwi mię kierunek umysłu twego i serca...

– Kuzynko! Kuzyniu! Kuzyneczko! Amen! Na Boga powiedz już amen! – zawołał młody człowiek, odsuwając się wraz z krzesłem, na którym siedział, i składając ręce jak do pacierza. – Pięknym usteczkom kobiecym nic mniej nie przystoi jak kazanie...

– Gdybym była prawdziwie dobrą siostrą, mówiłabym ci je od rana do wieczora...

– I nic byś dobrego nie uczyniła, siostruniu. Kazanie powinno być krótkim; przepis wyjęty z praw moralnych, filozoficznych, artystycznych. Oto lepiej opowiedz mi cokolwiek o tej czarnookiej nimfie, która zaprawdę warta jest lepszego losu niż ślęczenie nad twoją Jadzią.

– Oto lepiej – żywo podjęła gospodyni domu – powiedz mi, dlaczego w tej porze dnia jesteś tutaj?

– I gdzież mam być, jeśli nie u stópki twoich, droga kuzynko?

– W biurze – krótko odpowiedziała Maria Rudzińska.

Młody człowiek westchnął, ręce załamał i głowę na pierś

---

<sup>41</sup> *egzercycje* – ćwiczenia. [przypis edytorski]

opuścił.

– W biurze! – szepnął. – O Maryniu! Jakże jesteś okrutna! Czyliż jestem śledziem? Powiedz mi, czy naprawdę podobny jestem do śledzia?

Wymawiając te pytania, człowiek wiekuistego śmiechu podniósł głowę i patrzył na gospodynię domu tak szeroko rozwartymi oczami, z tak komicznym wyrazem żalu, obrazy i zdumienia, że Maria nie mogła wstrzymać się od głośnego prawie śmiechu.

Wkrótce jednak powaga zastąpiła u niej chwilowe rozweselenie.

– Nie jesteś śledziem – wyrzekła patrząc na robotę, którą trzymała w ręku, z obawy zapewne, aby nie zaśmiać się znowu – nie jesteś śledziem, ale jesteś...

– Nie jestem śledziem! – zawołał młody człowiek, jakby po wielkim przerażeniu oddychając głęboko. – Dzięki Bogu, nie jestem śledziem! Ponieważ zaś nim nie jestem, rzecz prosta, iż nie mogę po całych dniach dusić się w biurze jak śledź w beczce...

– Ale jesteś człowiekiem i powinieneś raz już przecie poważniej zastanowić się nad życiem i jego zadaniami. Możnaż tak zawsze bąki tylko zbijać i za boginiami się upędzać? Żal mi doprawdy twego dobrego serca, które masz, i twych zdolności, których ci także nie brak. Jeszcze lat parę takiego życia, a staniesz się jednym z tych ludzi bez celu, bez zajęcia, bez przyszłości, których i tak już u nas za wiele...

Urwała i z wyrazem prawdziwego smutku spuściła twarz ku robocie. Młody człowiek wyprostował się i wymówił z uroczystością:

– Amen! Kazanie długie było, nie można mu przecież odmówić pewnej esencji moralnej, w której skąpane serce moje, jak w łzach umoczona gąbka, pada do stóp twoich, droga kuzynko!

– Olesiu! – rzekła powstając gospodyni domu. – Jesteś dziś nierozsądniejszym jeszcze jak zwykle... Nie mogę dłużej rozmawiać z tobą; idź do biura, a ja pójdę do kuchni!

– Siostruniu! Maryniu! Do kuchni! *fi donc! c'est mauvais genre*<sup>42</sup>! Żona literata do kuchni! Mąż jej pisze może o poetyczności obowiązującej niewiastę, a ona idzie do kuchni!

Mówiąc to, wstał i z wyciągniętymi rękami patrzył na odchodzącą kobietę.

– Siostro! – zawołał raz jeszcze. – Mario! Ach, nie opuszczaj mnie!

Maria nie odwróciła się i była już przy drzwiach od przedpokoju. Wtedy młody człowiek poskoczył ku niej i pochwycił jej rękę.

– Czy rozniewałaś się na mnie, Maryniu? Czy naprawdę rozniewałaś się na mnie? No, wstydz się! Daj pokój! Czyż chciałem cię obrazić? Czyż nie wiesz, że cię kocham jak rodzeniuteńką, najrodzeńszą siostrę? Maryńku! No, spójrz na mnie! Cóżem winien, żem młody! Poprawię się, zobaczysz,

---

<sup>42</sup> *fi donc! c'est mauvais genre* (fr.) – ależ, to w złym guście. [przypis edytorski]

niech tylko wprzód postarzę trochę!

Mówiąc to wszystko, całował ręce młodej kobiety, a fizjonomia jego mieniła się takim wyrazem połączonych lub szybko po sobie następujących – żalu, pustoty, smutku, czułości, przymilenia, że patrząc na nią można było śmiać się lub odejść wzruszając ramionami, ale gniewać się na to dorosłe dziecko nie było sposobu. Toteż Maria Rudzińska opierając się chwilę pieszczotom i przeprosinom brata skończyła na uśmiechu.

– Ileż bym dała za to, abyś ty mógł zmienić się, Olesiu...

– Ileż bym dał za to, abym mógł zmienić się, Maryniu! Ale... natura nie sługa, wilka do lasu... ciągnie...

Mówiąc ostatni wyraz skurczył się na kształt dziecka nieśmiało wyrażającego swe żądanie i wskazujący palec wyciągnął ku drzwiom od gabinetu.

– Czy znowu? – rzekła Maria, kładąc dłoń na klamce.

– Ani słowa już więcej nie powiem o czarnookiej tej bogini, którą, jak widzę, niby anioł stróż osłaniasz skrzydłami pobożnej opieki! – zawołał Oleś, pochwytyjąc znowu rękę kuzynki. – Ale przedstawisz mi jej, siostruniu? Prawda, że przedstawisz?

– Ani myślę o tym – odparła Maria.

– Moja droga! Moja miła! Moja jedyna! Przedstaw mi jej, gdy tu wejdzie! Powiedz: oto jest brat mój, wzór wszystkich przymiotów i doskonałości, chłopak poczciwy...

– I zarazem wielkie nic dobrego!

Z ostatnimi słowami Maria wyszła z salonu. Oleś stał chwilę przy drzwiach, jakby niepewny, czy ma zostać, czy pójść za

siostrą, po czym okręcił się na pięcie, stanął przed lustrem, poprawił krawata i fryzury, zanucił piosenkę, przestał nucić, na palcach podszedł ku drzwiom od gabinetu i uchyliwszy portierę, ucho przyłożył do drzwi.

Za drzwiami słyhać było głos małej Jadzi mówiący:

– *L'imparfait du subjonctif*<sup>43</sup>! Zapomniałam, jak mam pisać trzecią osobę. Z jakiego czasu, pani, tworzy się *l'imparfait du subjonctif*?

Odpowiedź nie zaraz nastąpiła. Słyhać było przewracanie kartek książki. Nauczycielka szukała znać w książce odpowiedzi, jaką zmuszona była dać swej uczennicy.

– *Du passé défini de l'indicatif*<sup>44</sup> – wymówiła po chwili Marta.

Oleś wyprostował się, wzniosł oczy w górę i powtórzył z cicha:

– *De l'in-di-ca-tif!* co za anielski głosik!

W gabinecie panowała znowu cisza. Uczennica zajęta widać była pisanem i po chwili dopiero ozwała się:

– *Bateau*<sup>45</sup>! Nie wiem, pani, jak się pisze *bateau*: **eau** czy **au**?

Odpowiedzi nie było, nauczycielka milczała.

– O! – szepnął Oleś. – Ciężko coś idzie mojej bogini! Nie

---

<sup>43</sup> *l'imparfait du subjonctif* (fr.) – czas przeszły niedokonany trybu łączącego (tryb łączący, *subjonctif*, nie istnieje w jęz. pol.; w przeciwieństwie do trybu oznajmującego, przedstawiającego rzeczywistość obiektywną, tryb łączący wyraża subiektywny stosunek mówiącego do rzeczywistości i używany jest po czasownikach wyrażających wolę, rozkaz, prośbę, żal, strach itp.). [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *du passé défini de l'indicatif* (fr.) – z formy czasu przeszłego trybu oznajmującego. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *bateau* (fr.) – statek. [przypis edytorski]

wie podobno<sup>46</sup>, co odpowiedzieć na pytanie tej małej mądrali... a może marzy... ach!

Na palcach odszedł od drzwi i stanął przy oknie, zaledwie jednak spojrzał przez szyby na dość ludną i ruchliwą ulicę, zawołał:

– Co widzę! Panna Malwina tak rano już na mieście? Biegnę, leczę, pędzę!

Mówiąc to, pędził w istocie ku drzwiom i z wielkim impetem otwierając je, spotkał się oko w oko z Marią, która do salonu wracała.

– Dlaboga – rzekła gospodyni domu, cofając się do przedpokoju – dokądże tak pędzisz? Czy do biura?

– Zobaczyłem przez okno pannę Malwinę – śpiesznie wkładając paltot, odpowiedział młody człowiek. – Poszła ku placowi Krasińskich, zapewne do sklepów po sprawunki. Muszę przecież być tam z nią koniecznie...

– Czy obawiasz się, aby panna Malwina nie wydała w sklepach za wiele pieniędzy, jeśli opiekować się nią nie będziesz?...

– Głupstwo pieniądze! Ale kawałeczek serca swego zgubić może po drodze. Do widzenia, Maryniu... kłaniaj się ode mnie czarnookiej bogini...

Ostatnie słowa wymawiał już na wschodach.

W niespełna godzinę potem Marta wchodziła do izby swej na poddaszu. Opuszczając ją, miała twarz ożywioną, krok lekki, z uśmiechem przyciskała do piersi i całowała w czoło małą

---

<sup>46</sup> *podobno* – tu: prawdopodobnie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

córkę, nauczając ją, jak w czasie nieobecności jej bawić się ma ze swą lalką i dwoma kalekimi krzesłami, służącymi lalce za łóżko i kołyskę; wróciła powolnym krokiem, ze spuszczoneymi oczami i wyrazem ciężkiego zamyślenia na twarzy. Powitalnym wykrzykom i uściskom dziecka odpowiedziała przelotnym zaledwie, milczącym pocałunkiem. Jancia popatrzyła na matkę swymi wielkimi, pojętnymi oczami.

– Mamo! – rzekła, otaczając szyję matki drobnym ramieniem. – Czy nie dali ci roboty? Nie śmiejesz się już, nie całujesz mnie, jesteś znowu taką, jaką byłaś wtedy... wtedy, kiedy ci nie dawano roboty.

Dwie te istoty różnych wieków tak zeszyły się ze sobą wśród biedy i osamotnienia, że dziecko z wyrazu twarzy i siły pocałunku odgadywało smutki i niepokoje kobiety. Tym razem jednak Jancia pytała daremnie, matka jej wsparła czoło na dłoni i w tak głębokie zapadła zamyślenie, iż nie słyszała nawet jej głosu. Po chwili jednak Marta powstała.

– Nie – rzekła z cicha. – Tak być nie może! Nauczę się, muszę nauczyć się, muszę umieć! Trzeba mi książek – dodała i po chwilowym namyśle otworzyła mały tłomoczek, wydobyła zeń jakiś przedmiot, owinęła go chustką i wyszła na miasto. Wróciła przynosząc ze sobą trzy książki. Była to gramatyka francuska, chrestomatia<sup>47</sup> i przeznaczona do użytku szkół historia francuskiego piśmiennictwa.

---

<sup>47</sup> *chrestomatia* (z gr.) – wybór tekstów różnych autorów przeznaczony do celów edukacyjnych; wypisy. [przypis edytorski]

Wieczorem w izdebce na poddaszu paliła się mała lampka, a przy niej nad roztwartą książką siedziała Marta. Oparła czoło na dłoniach i pożerała oczami karty książki. Zawile prawidła gramatyczne, tysiączne zagadnienia jednej z najtrudniejszych w świecie pisowni plątały się przed oczami jej jak pasma powikłanych nici, jak labirynt wskazówek i faktów naukowych nieznanych całkiem lub tak dobrze jak nieznanych, bo zapomnianych. Marta skupiała całą moc swego pojęcia, wszystkie siły swej pamięci, aby w ciągu jednego wieczoru, jednej nocy, zrozumieć, zapamiętać, przywłaszczyć sobie to, czego zrozumienie wymaga pracy lat kilku, pracy powolnej, cierpliwej, systematycznej, loicznie prowadzonego, stopniowo zaokrąglanego kursu. Biedna kobieta myślała, że wytężone, gorączkowe wysilenie wynagrodzić zdoła umysłowi lata zastoju, że drobna chwila obecna zaważy na szali z przeszłością całą i przeważy ją, że pragnienie niezmiernie jednoznaczny w życiu z możliwością. Łudziła się. Długo łudzić się jednak nie mogła. Wysilenia jej trawiły się w gorączce, nużyły ciało i ducha, samym swym naprężeniem uniemożliwiały postęp wszelki, chwila obecna, na wskroś przejęta dolegliwym niepokojem, niewyraźną jeszcze, lecz już gryzącą gorycz sączyła w serce kobiety, która, opuszczona przez wszystko na ziemi, zaczynała pojmować, iż zawiodła się na samej sobie, że najmniej była przyjazna dla studiów, które, aby obfite przyniosły owoce, jak ptak dla rozwoju skrzydeł swych powietrza, potrzebują spokoju. Najsilniejsze pragnienie, najgorętsza aspiracja ducha,

najgwałtowniejsze porywy woli nie mogły sprawić, aby umysł nieświadomy przejrzał od razu tajemnice nauki, aby władze pojęcia i pamięci niewyćwiczone gięły się jak delikatne struny, jak błyskawice zakreślały szybkie kręgi, jak wosk rozmiękczony w probierczym ogniu wsiąkały w siebie to, czym je pojono.

Łudzić się długo Marta nie mogła, ale głusząc w sobie rozbiór wszelki, całą siłą umysłu swego i woli upierała się przy myśli: „Naucz się!” – tak jak rozbitek walczący z falami morza całą siłą obu rąk swoich upiera się przy jedynej desce, której wsparcie wlewa mu do głowy myśl: „Utrzymam się na powierzchni!”.

Teraz, jak wprzód, w ciągu długich jesiennych nocy na kształt szumiących wichrów huczały i nieskończoną gamą wzdymały się i opadały tajemnicze gwary wielkiego miasta, ale Marta już ich nie słuchała, słuchać lękała się, bo przejmowały ją tą nieokreśloną zgrozą, która ogarnia istotę ludzką, uczuwającą bezpomocne zapadanie w żywioł potężny, nieznany, przepaścisty.

Teraz, o północnej godzinie, chodziła po izbie oświetlonej bladawym płomykiem lampki, z jaskrawymi rumieńcami na policzkach, z opuszczonymi na plecy czarnymi warkoczami, rękami splecionymi z nerwową siłą, z ustami szepczącymi wciąż, szepczącymi wyrazy obce zaczerpnięte z tej książki, która, roztwarta pod promieniem lampy, jeżyła się jak kolcami rzędami tysiącznych końcówek, znaków, cyfr oznaczających prawidła, nawiasów – wyjątki. Książką tą było owo dzieło Chapsala i Noëla, nauczające mnogich tajemnic subtelnej mowy Franków.

Wyrazy powtarzane ustami Marty od zmroku do północy, częstokroć od północy do białego świtania, były to owe nudne deklinacje i koniugacje, nad którymi na kuli ziemskiej poziewają codziennie tysiące dzieci.

Ale Marta nie poziewała. Brzmienia suche i monotonne, ściany szkół napełniające echemi nudy, w ustach jej posiadały znaczenie tragiczne. Łamała się z nimi i z sobą, z pojęciem swym niewprawnym, z pamięcią niewycwiczoną, z myślą ulatającą gdzie indziej, z niecierpliwością wprawiającą ciało w nerwowe drżenie. Łamała się ze wszystkim, co było wkoło niej, nade wszystko z tym, co było w niej samej, a z tej walki upornej<sup>48</sup> nie wynosiła nic lub prawie nic.

Postępowała z wolna, bardzo z wolna, dzień jutrzejszy niszczył i w otchłań zapomnienia pogrążał częstokroć to, co z ciężkim móżdżem zdobyć zdołała wczoraj; wiedza przybliżała się i cofała, dawała okruchy pożytku, a zabierała ogromy sił i czasu. Marta załamywała ręce, jak posąg nieruchomy ze skamieniałą twarzą przesiadywała nad książką godziny całe; wstawiała, gorączkowym krokiem przebiegała izbę, piła zimną wodę, zanurzała w niej czoło i oczy i uczyła się znowu, aby nazajutrz obudziwszy się powiedzieć sobie: „Nie umiem jeszcze nic!”. „Czasu, czasu! – wołała niekiedy w myśli swej młoda kobieta obrachowując, ile wierszy wyuczyć się może co dzień lub stronic co tydzień. – Gdybym miała przed sobą dwa lata, rok, choćby kilka miesięcy czasu!...”

---

<sup>48</sup> *uporny* (daw.) – dziś popr.: *uporczywy*. [przypis edytorski]

Ale czas, tak hojny dla niej kiedyś w chwili bezczynności i spoczynku, gnał ją teraz postrachem głodu, chłodu, wstydu, nędzy. Pragnęła na wyłączną własność swą posiadać choćby rok jeden, a jutro nie należało już do niej. Jutro już powinna była umieć wszystko, czego zaledwie rok, szereg lat nauczyć może, powinna była, musiała, jeśli nie chciała, aby z dłoni jej wypadło narzędzie zarobku. Pora, w której kobieta ta rozpoczynała walkę o byt swój i swego dziecka, nie była już dla niej porą do nauki sposobną, a jednak ona uczyła się...

Miesiąc upływał od dnia, w którym młoda wdowa po raz pierwszy wchodziła do ładnego mieszkania przy Świętojerskiej ulicy. Pani tego mieszkania witała ją zawsze uprzejmie, przemawiała do niej przyjaźnie, nawet serdecznie, ale do serdeczności przyłączał się coraz widoczniejszy odcień milczącego politowania, zakłopotania, nawet niekiedy przymusu powstrzymującego na ustach trudne do wymówienia wyrazy. Mała Jadzia względem nauczycielki swej zachowywała nieprzerwanie grzeczność dobrze wychowywanego dziecka, ale z ruchliwych, pełnych życia jej oczu strzelał od czasu żartobliwy promyczek, na świeżych ustach przebiegł uśmieszek figlarny, szybko wprawdzie stłumiony, niemniej przecież zdradzający wewnętrzne zadowolenie lub zdumienie uczennicy, podchwytyjącej smutną tajemnicę nieświadomości swej nauczycielki, mówiącej sobie w duchu: „Ależ ja więcej umiem od niej!”.

Nadszedł dzień, w którym Marta otrzymać miała od matki

swej uczennicy zapłatę za całomiesięczną swą pracę. Maria Rudzińska siedziała w saloniku z robotą w rękę, którą jednak w zamyśleniu opuściła na kolano. Pogodne zwykle czoło szczęśliwej kobiety dnia tego zachmurzone było nieco, piękne oczy jej z wyrazem smutku tkwiły w zamkniętych i portierą okrytych drzwiach gabinetu.

– Czy można wiedzieć, co drogą siostrę moją wprawiło dziś w tak ponure usposobienie? – ozwał się przy oknie głos męski.

Maria zwróciła wzrok w stronę mówiącego.

– Jestem w istocie bardzo zmartwiona, Olesiu, i proszę cię, abyś miał wzgląd na to moje usposobienie i nie niecierpliwił mię żadnymi żartami...

– O, o, o, o! – wymówił młody człowiek składając gazetę, którą dotąd twarz sobie przysłaniał. – Co za uroczystość mowy! Cóż się stało? Czy artykułu nakreślonego utalentowanym piórem szwagra mego do druku nie przyjęto? Czy małej Jadzi koniec noska zabołał? Czy melszpejs<sup>49</sup> z jabłek nie dopiekl się dostatecznie? Czy...

Młody człowiek zadawał pytania te ze zwykłą sobie komiczną emfazą w głosie, nagle jednak przestał mówić, powstał, zbliżywszy się do siostry usiadł przy niej i przez chwilę popatrzył jej w twarz z dłuższą i baczniejszą uwagą, niż można się było spodziewać po tak ruchliwej i roztrzepanej istocie.

---

<sup>49</sup> *melszpejs* a. *melszpejz* – znana m.in. w kuchni niem. i lit. słodka zapiekanka owocowa przygotowywana na mleku, z dodatkiem mąki, masła i jaj. [przypis edytorski]

– Nie – wyrzekł po chwili – to nie artykuł i nosek Jadziny, i nie melszpejs. Jesteś, Maryniu, zmartwiona naprawdę i czymś ważnym... Co to takiego?

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.